

DZIŚ
W NUMERZE:

WYPOWIEDZI KANDYDATÓW NA RADNYCH ■ TOMASZ SOLDENHOFF O SPOTKANIACH
Z RADNYMI ■ ANDRZEJ MAKOWIECKI O WANDALIZMIE ■ AGNIESZKA OSTAPOWICZ O
STARYCH LUDZIACH ■ JERZY URBANKIEWICZ O LEONIE SCHILLERZE W ŁODZI ■ JERZY
RZYMOWSKI O KSIĄŻCE MIODRAGA BULATOVIČA

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ■ ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XXI NR 6 (1052)
5 LUTEGO 1978 R.
CENA 3 ZŁ



SOCJALISTYCZNĄ POLSKĘ BUDUJE CAŁY NARÓD



Foto: W. Parys

RADNYM POD ROZWAGĘ

TOMASZ
SOLDENHOFF

W chwili, gdy kończyłem przygotowywać tę relację, fala ogólnonarodowej dyskusji — wywołana zbliżającymi się wyborami do rad narodowych — mijala dopiero półmetek.

Jeszcze przez tydzień w dziesiątkach zakładowych, osiedlowych i gminnych świetlic, w domach ludowych i siedzibach samorządów mieszkańców, w szkołach i aulach wyższych uczelni spotykać się mieli kandydaci na radnych ze swoimi wyborcami. Cykl ten rozpoczął drugi etap kampanii wyborczej. Do 25 stycznia 1978 roku zaplanowano w miejskim województwie łódzkim 220 spotkań.

Pierwszy etap kampanii otworzyły plenarne posiedzenia komitetów dzielnicowych, miejskich, gminnych i miejsko-gminnych Frontu Jedności Narodu, na których wytypowano 2.076 kandydatów na radnych. Wszyscy oni spotkali się następnie z ludnością w poszczególnych okręgach wyborczych.

Spotkania konsultacyjne znalazły się, po raz pierwszy w ordynacji wyborczej do rad stopnia podstawowego. Zapewniło to szeroki i autentyczny wpływ mas na to, aby na listach wyborczych znaleźli się rzeczywiście najlepsi z najlepszych, ludzie znani w swoich środowiskach z obywatelskiej postawy, rzetelnej pracy i społecznej aktywności. W ramach tych konsultacji odbyło się w województwie łódzkim 191 spotkań (w samej Łodzi 117). Wzięło w nich udział 10 tys. mieszkańców.

Tę pierwszą fazę kampanii przedwyborczej zakończyły plenarne posiedzenia komitetów FJN, zatwierdzające — poddane wcześniej społecznej ocenie — listy kandydatów.

Ordynacja wyborcza uległa zatem w tym roku rozszerzeniu. Czy było to konieczne?

Tak, jeśli się weźmie pod uwagę, jak rozległe przemiany dzieła nas od poprzednich wyborów przed czterema laty. Mam na myśli reformę administracyjną zapoczątkowaną w 1972 roku zlikwidowaniem gromadzkich rad narodowych, zapoczątkowaną zaś utworzeniem — w 1976 roku — nowych województw i połączeniem niektórych gmin. O efektach tej reformy mówi przyjęta na II Krajowej Konferencji Partijnej rezolucja „W sprawie wyborów do rad narodowych stopnia podstawowego”. „Stworzono — czytamy w rezolucji — korzystniejsze warunki dla wypełnienia przez rady narodowe ich funkcji ustawodawczych, inspirowanych i kontrolnych w stosunku do terenowych organów administracji państwowej. Rady narodowe jako organy przedstawicielskie mają coraz większy wpływ na rozwiązywanie podstawowych problemów życiowych ludzi pracy w gminach i miastach”.

Wnioski rezolucji przejęła i rozwinęła w program Deklaracji wyborczej FJN „O dalszą konsekwentną realizację programu wyższej jakości życia i pracy narodu, o dalsze pogłębianie demokracji socjalistycznej”. Czytamy w niej: „Praktyka w pełni potwierdziła celowość i słusność dokonanej reformy. Rady narodowe ma-

ją obecnie lepsze możliwości skutecznego kojarzenia interesów lokalnych z interesem ogólnonarodowym. Dlatego też większe spocząć muszą na nich obowiązki i większa musi być ich odpowiedzialność za kształtowanie warunków życia i pracy na terenie ich działania”. Zgodnie z tymi postulatami Deklaracji wyborczej FJN formułuje program wyborczy, zapowiadając między innymi: zwiększenie kompetencji rad, ich funkcji uchwalawczych, kontrolnych i koordynujących, ich środków i możliwości oddziaływania na jednostki administracji i gospodarki terenowej, podnoszenie rangi społecznej kontroli, a także rozszerzenie praktyki konsultacji ze społeczeństwem, „aby — jak głosi Deklaracja — najważniejsze dla gminy i miasta decyzje podejmowane były po zapoznaniu się z opinią i propozycjami ludności”.

Konsultowanie się rad ze społeczeństwem powinno stać się zasadą, od której nie będzie odstępstw. Zapowiedź zaś ścisłego przestrzegania tej reguły stanowiły spotkania kandydatów na radnych z wyborcami w ciągu tegorocznej kampanii.

II

Relacja ta — z perspektywy półmetka drugiego etapu wyborów — nie może przynieść pełnej odpowiedzi na pytanie, czy cele stawiane przed konsultacjami kandydatów na radnych z ludnością zostały osiągnięte. Odpowiedź pełna będzie zapewne możliwa po 5 lutego. Zawrze ona z pewnością cały obszar nie tylko nastrojów społecznych, w jakich Polacy rozprawiają u progu 1978 roku o najbardziej palących problemach, nie tylko zatem uczuć i emocji, lecz i refleksji: wątpliwości i stwierdzeń krytycznych, postulatów i wniosków optymistycznych słowem, cały obszar spraw leżących w sferze konstruktywnych zaleceń Deklaracji Wyborczej.

W Łodzi spotkania kandydatów na radnych z wyborcami miały uroczysty charakter, ale nie dlatego, iżby miały ograniczać się do jednostronnej prezentacji dorobku. Pod słowem „uroczysty” rozumiem — za Słownikiem Języka Polskiego: „pełen godności, powagi, będący wyrazem powagi, podniosłości”. Spotkania, którym

Dalszy ciąg na str. 3



JERZY RZYMOWSKI

W STRONĘ CZŁOWIEKA

„Straszyńska, Maria Krukowska i Zdzisław Wagner. W 1985 roku ukazały się trzy szkice krytyczne o prozie Bulatowicza, napisane przez Marię Bobrownicką, Henryka Berezę i Aliję Dukanovic. Było oczywiście trochę recenzji. W 1972 roku Polskie Radio nadało słuchowisko według „Czerwonego koguta...” w adaptacji Sławomira Kryski i reżyserii Zbigniewa Kopalki. Obecnie staraniem Wydawnictwa Łódzkiego otrzymaliśmy przekład „Bohatera na ośle”.

Powieść ta zamieszczona została pt. „Herój na magarcu ili Vreme srama” (Bohater na osie albo Czas hańby) w odcinkach na łamach belgradzkiego miesięcznika „Savremenik” w 1964 roku (nr 1-12) i już z rękopisu tłumaczona była na angielski, francuski i niemiecki. Miał być to pierwszy w Polsce fragment tego utworu ukazujący się w przekładzie Stanisława Kaszyńskiego w „Odgłosach” w roku 1965 (nr 41), że również obszerne partie powieści w tłumaczeniu D. Cirić-Straszyńskiej, sygnalizowane w „Literaturze na Świecie” w 1973 r., udośćpniliśmy czytelnikom naszego tygodnika w 1976 roku (jedenaście odcinków w nr 33-43). Specjalnie tak solennie wyliczam tu fakty świadczące o stopniowej recepcji autora na gruncie polskim, aby pokazać, jak mozolnie lecz systematycznie odrabiamy zaległości w przyswojeniu naszej kultury wybitnego zjawiska współczesnej literatury jugosłowiańskiej, co zresztą powinno stanowić zachętę dla podobnej pracy ze strony naszych przyjaciół z Południa w stosunku do współczesnej literatury polskiej, również znanej tam wyrywkowo i niedostatecznie, pograżonej w cieniu wielkich nazwisk, jak najzasłużeniej poezji, prozai, dramatów, powieści, np. Sienkiewicza i Prusa.

Wspominamy sukces Bulatowicza, tak efektywny z punktu widzenia prestiżu literatury narodowej, z trudem torującej sobie drogę do grona najbardziej opiniotwórczych nurtów w kulturze dzisiejszej, i ze względu na osobistą biografię autora, nie da się jednak opisać, a tym bardziej wyjaśnić jedynie w kategoriach socjologicznych, rynkowych, czy w ramach tak czy inaczej sezonowo ukształtowanej gąsienicy koniunktury tematyczno-stylistycznej w środowiskach intelektualnych. Spośród wielu czynników, które warte by z tej okazji rozważyć, trzeba uwzględnić także sprawy, jak stosunek pisarza do seksu (to narzuca się z wielką siłą atrakcyjną najszerszym kręgom czytelników), do wojny, do tradycyjnych pojęć i podziałów estetycznych, jak wzniosłość i komizm, do samej powieści wreszcie.

Dzieło Bulatowicza urzeka

niesłychanym bogactwem życia, wymykającym się ustalonym stereotypom estetyki i osądów moralnych. Jest pisane z polotem i fantazją, ponad granicami materialnej rzeczywistości i czysto duchowej fikcji, jest świetnie kontrolowanym dopięciem dla wyobraźni. Nieprzypadkowo proza ta współbrzmi zgodnymi tonami z tym niezwykłym, światem, którym podbija dziś rozkojarzonego eksperymentami formalnymi czytelnika powieść latynoamerykańska. Powieść to bowiem wybitnie regionalna a zarazem ogólnoludzka. Bulatowicz nie ulega jakimś modnym złudzeniom, gdy w swych wypowiedziach prasowych podkreśla znaczenie inspiracji lokalnych, ludowych, jako najważniejszego źródła siły twórczej. W 1964 roku zapewniał w Paryżu jednego ze swych polskich rozmówców, że „Literatura mówiona, ustnie przekazywana, w Czarnogórze jest prawdziwie wielka. Być może najlepsza w Jugosławii jest właśnie literatura mówiona. Zanim zacząłem pisać, znałem na pamięć kilka tomów poezji ludowych, przekazywanych ustnie... Ja nie istniałbym jako pisarz bez całej ludowej mówionej literatury czarnogórskiej”.

To się wyczuwa na każdej stronie, jako podskórne tworzywo fabuły, malowniczych anegdotów, obrazów w szczególności sposób unalwnionych, ale przede wszystkim jako nawarstwiona wielowiekowy, potoczny doświadczeniem ludu wiedza o człowieku i społeczeństwie, o porządku i zmienności i stroniętej kultury „uczonej”, wobec tasujących się teorii i idei. Z tej specyficznej wiedzy kształtuje się w prozie Bulatowicza perspektywa humanistyczna, nie wykoncypowana z refleksji filozoficznej, czy z jakichś też doktrynalnych, nie przybierająca formy wzniosłej moralistycznej egzystencjalistycznej, heroicznej, czy tragicznej. Stąd bierze się owa postawa generalnej aprobaty człowieka, stosunek pełen miłości i bezwzględności zarazem, totalnie wybaczący i obnażający zło, brzydotę, cierpienie. Stąd też los ludzki w prozie Bulatowicza realizuje się w nieustannie przeplatających się okolicznościach i zachowaniach śmiesznych i posępnych, ujętych lirycznie i naturalistycznie.

Toteż z takim wyposażeniem duchowym podjęty w „Bohaterze na osie” temat wojny i okupacji faszystowskiej (w tym przypadku włoskiej), niewątpliwie znajdujący się w świadomości narodów, którym dane było zetknąć się z najgroźniejszą formą i skalą prześladowań oraz uczynić ogromny wysiłek walki i oporu, pod specjalną ochroną władz, preferując obraz heroizmu i martyrologii, musiał wywołać reakcje różne, w tym również pretensje i żale do autora. Albo-

wiem bohaterstwa i cierpienia w tym znaczeniu, do jakiego przyzwyczaili nas literatura antywojenna, batalistyczna i rozrachunkowa, w powieści Bulatowicza nie ma, choć nie brakuje tam ludzi cierpiących, po obu stronach wojennej „barykady”.

Autor nie mógł jednak stworzyć innego jakościowo obrazu, nie tylko dlatego, że obowiązywał przez realia rzeczywistości okupacyjnej, obserwowanej w fazie rozkładu moralnego wioskiego garnizonu, „zadękowanego” (jak to się u nas powiada) w czarnogórskim miasteczku, lecz także dlatego, że inne ujęcie oznaczałoby sprzecznięcie się swym głębokim predykcją myślową i artystycznym, otwierającym ową perspektywę humanistyczną. Żołnierze zatem są tu pokazani jako ludzie niezdolni wraz z przyodzianiem munduru do zmiany swej osobowości „cywilnej”, jako mężczyźni pragnący zaspokoić swe męskie, naturalne potrzeby, jako ludzie tęskniący za domem i matką, starający się przeżyć wojnę, a jej koszmarny zneutralizować alkoholem, snem, nie-wybredną rozrywką. Jak więc w heroikomicznym poemacie Krasickiego prosperują tu liczne „karczmny”, są „bram cztery ulomki (...) i gdzieś tam domki”. Heroicum przypomina też napuszony patos patriotycznych oracji, wygłaszanych przez oficerów podczas apelów wojskowych, tuż po i tuż przed bachiczno-erotycznymi orgiami, będącymi kolejną wersją dantejskiego piekła w konwencji groteskowej. Jedynie zaś indywiduum stylizujące się na pojęcie bohatera, to właśnie tytułowy „bohater na osie”, którego oczywiste ów osioł użycza symbolicznej miary bohaterstwa.

Temat główny powieści — powiedział Bulatowicz wkrótce po opublikowaniu książki — sprowadziłbym do następującej formuły: wojna, chwała, miłość i rozwiążność stanowią jedną całość”. Nie będę tu rekomendował inwencji w dziedzinie przedstawiania seksu, pragnę jedynie podkreślić jego niedekoracyjny związek z sytuacją fabularną, w jakiej rozkwita biorąc we władanie zdeperowaną, zmęczoną wojną i samotnością jednostek, społeczność oraz jego związek z plebejską wizją człowieka jako istoty cielesnej, mającej przede wszystkim swoje naturalne potrzeby i interesy, i wedle nich sterującej swym postępowaniem. Nie inaczej przecie rysuje się, żeby powiedzieć uczenie, tzw. koncepcja człowieka w folklorze. Bulatowicz widzi los ludzki w kategoriach tragikomicznych, wojnę jako rzecz nieludzką, bo przeciwną naturalnej sytuacji człowieka, przeto eksponuje jako akt naturalny ucieczkę człowieka od woj-

ny, ucieczkę w idyllę wspomnień i utopie marzeń, ucieczkę w otepienie i obojętność, w alkohol i w świat intensywnie zmysłowej, fizjologicznej satysfakcji. „To książka antywojenna — powiada w cytowanym wywiadzie — i sądzę — bardzo humanistyczna. Nie pisałem jej w złych zamiarach, w nienawiści. Pisałem o Włochach po ludzku, współczująco, tak samo jak o moich dziewczynach z tej książki. Nie wiem, kto jest bardziej zagubiony, kto śmieszniejszy i smutniejszy. Nie ma tam czarno-białych charakterów, jest natomiast dużo miłości...” Te intencje są rzeczywiście widoczne w „Bohaterze na osie”, nie dziwny się jednak, że powieść wystawiła na trudną próbę tęsknoty heroizacyjnej u kombatantów obydwu stron; we Włoszech odezwali się głosy krytyki i rozczarowania, mieli również pretensje Jugosłowianie.

Powieść Bulatowicza przynosi jednak coś więcej oprócz sugestywnej plastyki obrazu literackiego, śmiałości obyczajowej i bezpretensjonalnego, choć budzącego spory, humanizmu. Jest ona — wybitnym dziełem kompromisu między awangardyzmem a powściągliwą tradycją, dziełem nowego realizmu, uwolnionego od werystycznych powłódek wobec świata otwartego, wzbogaconego zaś szeregiem osiągnięć nowszej prozy, np. dyskretnym autoteatyzmem, odcodzonym z nadwyżki stylistycznej ekspresjonizmem, z zachowaniem ingerencji psychiki w świat pozapsychiczny, kreowany w stylu fantastyki i groteskowej deformacji. „Bohater na osie” powstał na styku kultur, „wysokiej” i „niskiej”, inteligentnej i ludowej, zachodniej i słowiańskiej, na styku uniwersalności i rodzimoci. Listę lektur można by tu wskazać bardzo długą, najcenniejszą zaczyna się ją od Dostojewskiego i prowadzi przez wierszokółki powieści pierwszej połowy XX wieku. Źródło lokalnych odsonów nie potrafimy, ale historia literatury będzie miała chleb z tej roboty w przyszłości. Możemy więc tylko wyrazić przypuszczenie, że Miodrag Bulatowicz jako powieściopisarz wkroczył na wartościowy trop prowadzący do odnowienia gatunku, a przynajmniej przystosowania go do autentycznych doświadczeń i potrzeb współczesnego czytelnika, rzecz prosta, czytelnika o pewnych wymaganiach w zakresie myśli i sztuki. Tym tłumaczę sobie sukces i szeroki w świecie odbiór tej prozy. Byłoby spóźnionym gestem gratulować pisarzowi, możemy wszelako pogratulować świetnej książki Wydawnictwu Łódzkiemu i autorce przekładu.

Miodrag Bulatowicz, Bohater na osie. Przekład z serbsko-chorwackiego: Danuta Cirić-Straszyńska. Łódź 1977, nakład 40.000, ss. 403, cena 40 zł, „Biblioteka Jugosłowiańska”.

JAK UCZYĆ FIZYKI?

Fizyka jako przedmiot nauczania spełnia wszechstronne funkcje w kształtowaniu rozwoju umysłowego ucznia i w przygotowaniu go do zajęcia właściwego miejsca w życiu społecznym. Jej rola w 10-letniej średniej szkole ogólnokształcącej łącznie z astronomią ze względu na aspekty światopoglądowe i praktyczne będzie niewątpliwie większa niż dotychczas.

Aby zapewnić maksymalną efektywność nauczania i uczenia się tego przedmiotu w zreformowanej szkole oraz, zgodnie z wymaganiami współczesnej dydaktyki, realizować zawarte w programie cele kształcenia i wychowania tej dyscypliny, niezbędne są określone warunki, a m. in. zapewnienie szkole dostatecznej ilości nowych, funkcjonalnych, odpowiadających współczesności środków dydaktycznych. Wychodząc od tego warunku — postulatu podyktowanego przez dotychczasowe doświadczenia dydaktyczne nauczycieli fizyki, dydaktyków fizyki szkół wyż-

szych oraz wykładowców fizyki IKNiBO a także przez konieczność wynikającą z założeń programowych i ogólnych tendencji dydaktycznych. W Zakładzie Fizyki Instytutu Fizyki Uniwersytetu Łódzkiego oraz w IKNiBO II w Łodzi narodziła się koncepcja zorganizowania konferencji naukowej nt. „Środki dydaktyczne do nauczania fizyki w 10-letniej średniej szkole ogólnokształcącej”.

Organizatorzy konferencji postawili przed sobą trzy cele: ukazanie naukowych podstaw i naukowych aspektów eksperymentu w zakresie fizyki w szkole oraz miejsca środków dydaktycznych w nauczaniu fizyki, ukazanie praktycznego zastosowania wybranych środków dydaktycznych w procesie nauczania, ukazanie w formie ekspozycji prac z zakresu dydaktyki fizyki (podręczniki krajowe i zagraniczne, opracowania dydaktyczne, czasopisma itp.) oraz dużego zestawu pomocy naukowych.

W konferencji wzięli udział goście zagraniczni z ośrodków

dydaktycznych fizyki: z Instytutu Fizyki Wyższej Szkoły Technicznej w Karl-Marx-Stadt, doc. dr Rudolf Gobel, Uniwersytetu w Ołomuńcu dr Oldrich Lepil oraz Uniwersytetu w Szegedzie, dr Bela Sarkary i mgr Laczko Pirozka.

Zorganizowanie tak reprezentatywnego forum dydaktyków fizyki w okresie poprzedzającym reformę systemu oświaty było pilną potrzebą społeczną i praktyczną, było również wyrazem troski o poziom nauczania fizyki. Myśl tę wyraził w zagajeniu obrad doc. dr Bazyli Bończak z Uniwersytetu Łódzkiego. Jeśli dobra dydaktyka w szkole nie jest do pomyślenia bez dobrej nauki, to prawdziwa ta wyznacza także rolę wyższej uczelni w przygotowaniu reformy, co dobitnie podkreślił w przemówieniu powitalnym do uczestników konferencji rektor Uniwersytetu Łódzkiego, prof. dr hab. Romuald Skowroński.

Mając na uwadze przygotowanie do reformy należy również zdawać sobie sprawę i z

tego, które środki do nauczania fizyki powinny być preferowane, w jakich rozmiarach mają być produkowane, jaka jest ich wartość i przydatność, jaka hierarchia, na co zwrócił uwagę przedstawiciel Ministerstwa Oświaty i Wychowania mgr inż. Czesław Kubiakowski.

Pierwszy i podstawowy cel konferencji został zrealizowany w czasie obrad plenarnych, na których referaty naukowe wygłosili: doc. dr Mieczysław Sawicki (IKN) — „Środki dydaktyczne w nauczaniu fizyki ze stanowiska współczesnej pedagogiki”, doc. dr Bazyli Bończak (UL) — „Próba oceny wyposażenia i potrzeb pracowni fizycznych w szkołach”, dr Henryk Bonecki (IPS) — „Modernizacja procesu nauczania i uczenia się fizyki w powszechnej szkole średniej”, dr Oldrich Lepil — „Środki dydaktyczne nauczania fizyki w 10-letniej szkole średniej”, doc. dr Rudolf Gobel (DDR) — „Rola eksperymentu w procesie poznawczym w nauczaniu fizyki”, mgr Gustaw Gebura (IKNiBO II w Łodzi) — „Modele i modelowanie w nauczaniu fizyki”.

JAN JUSZCZYK

SPROSTOWANIE

W 5 numerze „Odgłosów”, razem z esejem dra Tadeusza Białejewskiego o twórczości Wandy Karcewskiej, zamieściliśmy Jej dwa wiersze pt. „Mój głos” i „Spóźnionemu”. Wiersze tych nieśmiertelnych nie opatrzyliśmy ich rokiem wydania, tj. 1930. (Wydawnictwo „Czytelnik”, tom „Wiersze i poematy”). Za to niedopatrznie serdecznie Autorów przepraszamy.

REDAKCJA

KUPON

Wypełnione kupony plebiscytowe prosimy nadsyłać na adres naszej redakcji w kopertach z dopiskiem „Łódzianie 1977”.

Tadeusz Chrościelewski
Kazimierz Dębski
Wojciech Drygas
Teresa May-Czyżowska
Waldemar Podgórski
Włodzimierz Saar
Jerzy Samujłło
Lech Sosnowski
Paweł Udorowiecki
Barbara Wójcicka:
Imię i nazwisko
Adres
Zawód

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAZDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

Dalszy ciąg ze str. 1

przysłuchiwałem się, dalekie były od celebracji i retoryki. Przebiegały one w jak bym to określił, pewnym pozytywnym napięciu, które z jednej strony przejawiało się spontanicznością, otwartością wystąpień wyborców, lecz w duchu powagi właśnie, z drugiej strony natomiast życzliwym skupieniem i zainteresowaniem ze strony prezydium. Wartością tych spotkań było ówczesne i to, że na ogół udzielano bezpośrednio szczegółowej i pełnej odpowiedzi. Umożliwił je udział przedstawicieli komitetów dzielnicowych, i zakładowych PZPR, urzędów dzielnicowych, dyrekcji przedsiębiorstw, na terenie których zebrania odbywały się, a wreszcie reprezentantów tych instytucji, do których — w nowych osiedlach zwłaszcza — kierowano najwięcej wniosków i postulatów: PGM, poszczególnych ROM-ów, Zakładów Sieci Ciepłej, budowlanych.

Ow tak uderzająco poważny klimat spotkań wziął się nie tylko z tych okoliczności (powiedziałem o nich wyżej), które każą w skali całego kraju wiązać z nowo wybranymi radami większe niż dotąd nadzieje, nie tylko także z obecnością kompetentnych władz, swobody i powagi dyskusji. Spotkania te były również, jak i cała tegoroczna kampania wyborcza, egzaminem organizatorskich umiejętności komitetów FJN. Pisał o tym niedawno na łamach „Życia Literackiego” Stefan Ciepły: „Dla aparatu wykonawczego szczebla wojewódzkiego i gminnego są właściwie wybory w przeważającej części kraju doświadczeniem nowym. Kiedyś realizowały tę kampanię instancje powiatowe”.

III

W Łodzi punktem wyjścia do dyskusji były krótkie wprowadzenia do zagadnienia i uchwały II Krajowej Konferencji Partijnej i projekty planu rozwoju społeczno-gospodarczego dzielnic. Dobrze się stało, że przedwyborcze spotkania wykorzystano dla rozszerzenia politycznej świadomości i wiedzy obywateli.

Gdyby chcieć scharakteryzować rodzaje pytań, jakie najczęściej pojawiały się w dyskusjach, to na tematycznej liście dominowałyby, rzecz jasna, sprawy dnia powszedniego.

Część pytań miała jednak charakter bardziej ogólny, problemowy. Dotyczyła ona aktualnych spraw polityki społecznej i gospodarczej kraju. Świadczy to o rosnącej świadomości, o zainteresowaniu nie tylko własnymi, codziennymi bolączkami, ale i problemami, którymi żyje cały naród.

Z tego zainteresowania wyrastały wielokrotnie konkretne propozycje rozwiązania niektórych problemów — w skali całego miasta i województwa. Tego typu postulaty przeważały na spotkaniach z kandydatami na radnych do DRN Łódź-Sródmieście — w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym. Pochodziły one od osób mających wielokrotnie w ciągu dnia do czynienia ze znanymi trudnościami komunikacyjnymi Łodzi. Dyskutowano tu zawzięcie o najbardziej kontrowersyjnych kwestiach budowy tras W-Z (zmniejszenie liczby dwupasmowych skrzyżowań, optymalne rozwiązania sygnalizacji świetlnej itp.), o brakach i przydzielach taboru, postulowano zmiany w rozmieszczeniu przystanków czy przebiegu tras, budowę tuneli bądź „klatek” nad strzeżonymi przejazdami kolejowymi w obrębie Łodzi itd. — a wszystko to z pozycji współgospodarzy i codziennych użytkowników, którym również leży na sercu coraz większa sprawność i nowoczesność łódzkiej ulic, autobusów i tramwajów, jak i wygoda ich pasażerów.

Nie spotkałem się tutaj z przejawami samozadowolenia. Wypowiedzi pracowników MPK świadczyły raczej o odpowiedzialności, realistycznym widzeniu własnych mankamentów i samokrytycyzmie. Jest to o tyle cenne, że instytucja ta nie należy przecież

do najbardziej rozpieszczanych ani przez publikatorów, ani przez samych mieszkańców miasta.

Aczkolwiek spotkaniu z radnymi w MPK towarzyszyły i konstruktywne wnioski (życiowo zostały przyjęte przez KZ PZPR postulat udziału radnych w zebraniach KSR-u), należy żałować, iż jego tematyka — zawężona w efekcie do spraw komunikacji — pozostawiła poza bardzo fachową dyskusją tych kandydatów na radnych, którzy nie wywodzili się z MPK. Byli wśród nich i prezes chemicznej spółdzielni pracy, i tokarz, i student Politechniki Łódzkiej, i projektant z ŁPP, zapewne więc niejedną z nich, uczestniczącą w poprzedniej kadencji rad w pracach komi-

Tego rodzaju problemy, nazwijmy je „podstawowymi problemami infrastruktury”, przeważały oczywiście na spotkaniach z radnymi w nowych osiedlach i dzielnicach mieszkaniowych.

Spotkanie przy ul. Wasilewskiej, na osiedlu Zarzew, tutejszy Komitet Osiedlowy SM nr 16 wykorzystał do przedstawienia swych problemów radnym, a że były one zbliżone z odczuciami pozostałych wyborców, można pomysł ten pochwalić, a nawet więcej — stwierdzić, że samorząd ten jest dobrze zorientowany w sytuacji mieszkańców, że jest właściwą reprezentacją wszystkich ich interesów i postulatów.

Lista postulatów — wynikających

wizmu w ocenach obecnej sytuacji gospodarczej przez mieszkańców — na wet najbardziej — z różnych względów — poszkodowanych rejonów. Dumie z wielkich osiągnięć ostatnich lat towarzyszy jednak gospodarska, czy ludzka po prostu troska o konieczność likwidowania tak wielu jeszcze drobnych dolegliwości i niedomagań naszego handlu, komunikacji i usług.

Jeszcze rozleglejszą tematyce była dyskusja podczas spotkania z kandydatami na radnych do DRN Łódź-Górna na Dąbrowie. Gospodarzami spotkania przy ul. Zapolskiej były Komitety Osiedlowe nr 6 i 7. Wśród zebranych na sali znaleźli się mieszkańcy nie tylko Osiedla Tysiąc-

ROM-ów, Zakładu Sieci Ciepłej, młoci. A kandydaci na radnych?

Wystąpienia kilku z nich zapamiętałem szczególnie.

Na początek fragment wypowiedzi Henryka Cynkiera, kierownicz MPK, który w poprzedniej kadencji był aktywnym radnym w Komisji Handlu i Usług DRN Łódź-Sródmieście: „Wiemy dobrze, że nasz kraj potrzebuje społecznej, obywatelskiej aktywności. Dla nas — radnych, nie ma drzwiczek zamkniętych. Jesteśmy po to, aby wysłuchiwać o waszych sprawach i załatwiać je, albo przekazywać je wyższym instancjom do kontroli, czy dotarła do was odpowiedź. Stawiamy przed nami problem, a my będziemy go rozwiązywać!”.

Te proste, żarliwe słowa wywołały na sali oklaski...

Satysfakcja z osiągnięć, ale i świadomość celów jeszcze niezrealizowanych, przebiegały ze sprawozdania członka Komisji Ochrony Zdrowia i Spraw Socjalnych w poprzedniej kadencji (w tej samej dzielnicy) — Daniela Krajewskiego.

Na zebraniu w „Emforze” uwagę słuchaczy zwróciła różnorodność form pracy komisji i poruszanych przez nią zagadnień, przy czym kandydatka, tow. Krajewska świadomie podkreślała taką samą wagę wszystkich problemów. Wśród osiągnięć komisji można wymienić: usprawnienie pracy placówek lecznictwa otwartego (m. in. zwiększenie dostępności do lekarzy, likwidacja porannych kolejek „po numerki”) jak i domów dziennego pobytu (w czasie kadencji otwarto w Śródmieściu jeszcze jeden dom), poprawę pracy zakładowej służby zdrowia (choćby w „Emforze” którego ambulatorium dzięki nowej aparaturze awansowało do czołówek tego typu placówek w Łodzi), uaktywnienie pracy opiekunów społecznych. Liczne, przeprowadzane przez komisję kontrole wykazały jednak słabość profilaktycznej opieki w przedszkolach i szkołach. Rozszerzenia wymaga również opieka nad ludźmi starszymi.

Ambitny cel postawiła przed sobą również kandydatka na radną w obecnej kadencji, a w poprzedniej — członek Komisji Wychowania, Oświaty i Kultury w DRN Łódź-Widzew — Wanda Jaruga. Związana blisko z młodzieżą, zamierza ona — z chwilą powołania Komisji Indywidualnej Profilaktyki Społecznej — zająć się sprawami młodzieży trudnej.

Gorącym, życzliwie przyjętym przez zgromadzonych, apelem o współpracę wszystkich dorosłych w aktywnym, mądrym wychowywaniu młodzieży, w walce z wandalizmem i chuligaństwem, zakończyła swoją — bardzo rzeczową — wypowiedź kandydatka na radną do DRN Łódź-Górna, w poprzedniej kadencji członek Komisji Wychowania, Oświaty i Kultury, Bronisława Rogozińska. Z tego samego zebrania — na Dąbrowie, przy ul. Zapolskiej — utkwiło mi w pamięci jeszcze jedno wystąpienie sugestywne i słusze, czego dowodem był chór głosów poparcia i brawa. Przyszły radny nie zasiał w prezydium, mówił ze stosobowego tłumy mieszkańców: „Z uspo — przyrzekał — będę żądał od władz nowych kanalizacji dla Górnej, od MPK — rozsądnych, uzasadnionych decyzji o lokalizacji przystanków i nowych połączeniach komunikacyjnych, zwłaszcza z zachodnimi dzielnicami Łodzi, od szkół — większego zrozumienia potrzeb środowiska, działania na jego rzecz, większej integracji z młodzieżą i dziećmi...”.

Te i inne wystąpienia kandydatów na radnych wywołały bardzo pozytywne wrażenie. Oby równie dobra atmosfera i zrozumienie ze strony mieszkańców i instytucji towarzyszyło dalszym, niełatwym z pewnością działaniom radnych, których wybierze- my w wyborach — 5 lutego 1978 roku.

Tylko wówczas bowiem będą mogli oni zrealizować to wszystko, co na spotkaniach wyborców przekazali im pod rozwagę, co porzucili ich pamięci i trosce.

TOMASZ SOLDENHOFF

RADNYM POD ROZWAGĘ



Foto: W. Parys

z realnie ocenianych potrzeb, jest zresztą bardzo duża. Wymienimy niektóre z nich: wybudowanie nawierzchni w centralnym punkcie osiedla (na ul. Przedzłazianej przy Zbaraskiej), założenie oświetlenia w kilku nie mniej ważnych, handlowych punktach (wiąże się to ze sprawą bezpieczeństwa publicznego), brak kanalizacji w starej części tego rejonu (wziewskie kontrasty: ścieki wylewa się jeszcze z domów wprost na ulicę, w sąsiedztwie nowych wieżowców), brak sygnalizacji świetlnej na przejściach dla pieszych przy ul. Promińskiego (na skrzyżowaniu tej szczególnie ruchliwej ulicy z ul. Przybyszewskiego zanotowano jesienią ub. roku trzy wypadki śmiertelne, kilka poważnych potrażeń), liczne, a bardzo dokuczliwe usterki mieszkaniowe (głównie przecieki, „nie trzymanie ciepła” przez wadliwe skonstruowane płyty, do wymiany nadaje się również ok. 5 tys. metrów kwadratowych łentexu), brak sklepów kilku branż (m. in. jedno stoisko warzywnicze na całe osiedle)... Listę tę można by jeszcze wydłużać, radni — zresztą wszyscy obecni byli mieszkańcami Zarzewa — mają się nad czym głowić. Do choru postulatów swój głos dołączyły i dzieci. Wrećcając radnym kwiaty harcerska młodzież nie omieszkła wspomnieć o dawno już obiecanych basenie przy jednej ze szkół na osiedlu Zarzew — A.

Ten typ problemów — wewnątrz-zakładowych, dominował także w dyskusji na spotkaniu w Zakładach Przemysłu Odzieżowego „Emfor”. Zastanawiano się tu nad przyczynami absencji, nad możliwościami poprawy zaopatrzenia zakładowego bufetu i podobnymi sprawami. Jednak wielu mówców starało się tak formułować postulaty, by zawierały one również ogólniejszą treść. Jeden z dyskutantów z rozpoznania dość wysokiej średniej wieku załogi „Emforu” wywiódł postulat jeszcze większego, niż dotychczas, zainteresowania się radnych sprawami zatrudnionej w przemyśle odzieżowym młodzieży, jej możliwości dokształcania zawodowego (proponując powołania wieczorowego Technikum Odzieżowego) i wypoczynku (narkazania na niedostateczną bazę rekreacyjną i kulturalną Śródmieścia).

Większość załogi „Emforu” — to kobiety, nie dziwota więc, że i tu — na fabrycznym forum — pojawiły się postulaty wykraczające poza sprawy zakładowe czy branżowe (kobiety postulowały np. budowę placów gier dla dorastającej młodzieży, o których projektanci łódzkich osiedli rzeczywiście zdają się zapominać).

I jeszcze jedno godne jest odnotowania: fakt wzrastającego obiekty-

lucia Państwa Polskiego, ale i sąsiedujących osiedli: Chojny — Dworzec i Czerwony Rynek.

Wiele zgłoszonych postulatów świadczyło o szerokim polu widzenia spraw, o zmyśle gospodarskim i dalekowzroczności. Było miejsce i na pochwały pod adresem osiedli i na słuszne postulaty (dom kultury, hala sportowa, basen). Ale obok wypowiedzi rzeczowych i obiektywnych właśnie podczas 3-godzinnej dyskusji na Dąbrowie, zarysowała się bardzo wyraźnie cała grupa pytań, u źródeł których stały przykre doświadczenia jednostek. Skargi, zażalenia i wnioski, adresowane konkretnie, lecz przecież nie do radnych, popłynęły tu bardzo szeroko i nurem. Z jednej strony świadczyły to o powadze problemów, z drugiej strony jednak o braku orientacji co do sposobu załatwiania tego typu spraw. Wielu mieszkańców nie chce jakoś wiedzieć o istnieniu swoich samorządów, i samotnie, a bezskutecznie toczy boje z niesolidnymi i obojętnymi urzędami. Znamienna była wypowiedź jednego z mieszkańców:

— Jak tu, na Dąbrowie, mieszkam trzy lata, to dzisiaj dopiero poznałem swój samorząd i przyszłych radnych. Przyszedłem jednak, aby ich zobaczyć i posłuchać, i podzielić się własnymi uwagami, bo chciałbym, by mój wybór był świadomy...

Na wiele pytań odpowiadali przedstawiciele bezpośrednio zainteresowanych urzędów i instytucji:

je kulturę, tę przez małe „k”. Na spotkaniu ze swoimi wyborcami, często miałem potwierdzenie moich obserwacji. Ludzi należy przekonać, że tak nie jest. Sądzę, że moja praca będzie miała głębszy sens i spotka się z należytyim zrozumieniem.

KRYSTYNA MACIŃSKA, bibliotekarka w Wyższej Szkole Muzycznej

Nie tak dawno otrzymałam mieszkanie na Retkini — Południe, w rejonie zupełnie zaniedbanym jeśli chodzi o obiekty kulturalne. Właściwie wszystko trzeba zaczynać od początku. Jest tu wiele pracy, trudnej ale koniecznej. Kiedy byłam na spotkaniu z wyborcami mówiliśmy sporo na ten temat, bo potrzeby są znaczne: ulice wymagają należytego oświetlenia, słaba sieć sklepów, trudności komunikacyjne, brak telefonów, znaczne odległości od zakładów pracy nie ma kin, teatrów, bibliotek.

MÓWIĄ KANDYDACI NA RADNYCH:

KRZYSZTOF ŁOPALEWSKI realizator dźwięku w łódzkim ośrodku TV

Wybory do rad, to sprawa niezwykle poważna, zważywszy na pracę, jaka mnie czeka jeśli zostanę wybrany na radnego. To wielka odpowiedzialność przed ludźmi, którzy mi ufają. Pracy się nie boję choć zdaje sobie sprawę z jej ogromu i wszystkich trudności, jakie mnie czekają. Oczywiście z racji swojego zawodu, będę pracować w komisji kultury.

Od wielu lat bliska mi jest sprawa

domów kultury. Nie tych ogromnych mających moich mecenasów, pieniądze, instruktorów — ale tych małych, borykających się z wieloma trudnościami, szukających jakiegoś modelu pracy, który pozwoliłby na przełamanie marazmu i stagnacji, w jakie popadły. Z doświadczenia wiem, że pracują tam ludzie z zapałem, często są to ci, którym nie powiodło się na studiach i zaczęli się w domu kultury, usiłując coś tam robić. Ale pozostawieni sami sobie nie bardzo wiedzą jak i co mają robić. Więc szamoczą się, chwytają się najrozmaitszych pomysłów, podejmują różne akcje, by w końcu po-

zostać na prowadzeniu zespołów szachowych, gry na gitarze, brydżu czy dyskotekach. Sądzę po prostu, że tym ludziom należy pomóc, ukierunkować ich, nadać temu co robią, jakąś sensowną treść. Wydaje mi się, że czasem brakuje im zwyczajnie ciepłego ludzkiego słowa ze strony zapraszających przez nich artystów, muzyków, pisarzy itp.

Inna sprawa to odbiorcy tzw. dóbr kulturalnych. Jakże często obserwowałem obojętność z jaką przyjmowała publiczność imprezy organizowane przez małe domy kultury. Istnieje przekonanie, jakże krzywdzące, że mała placówka kulturalna propaga-

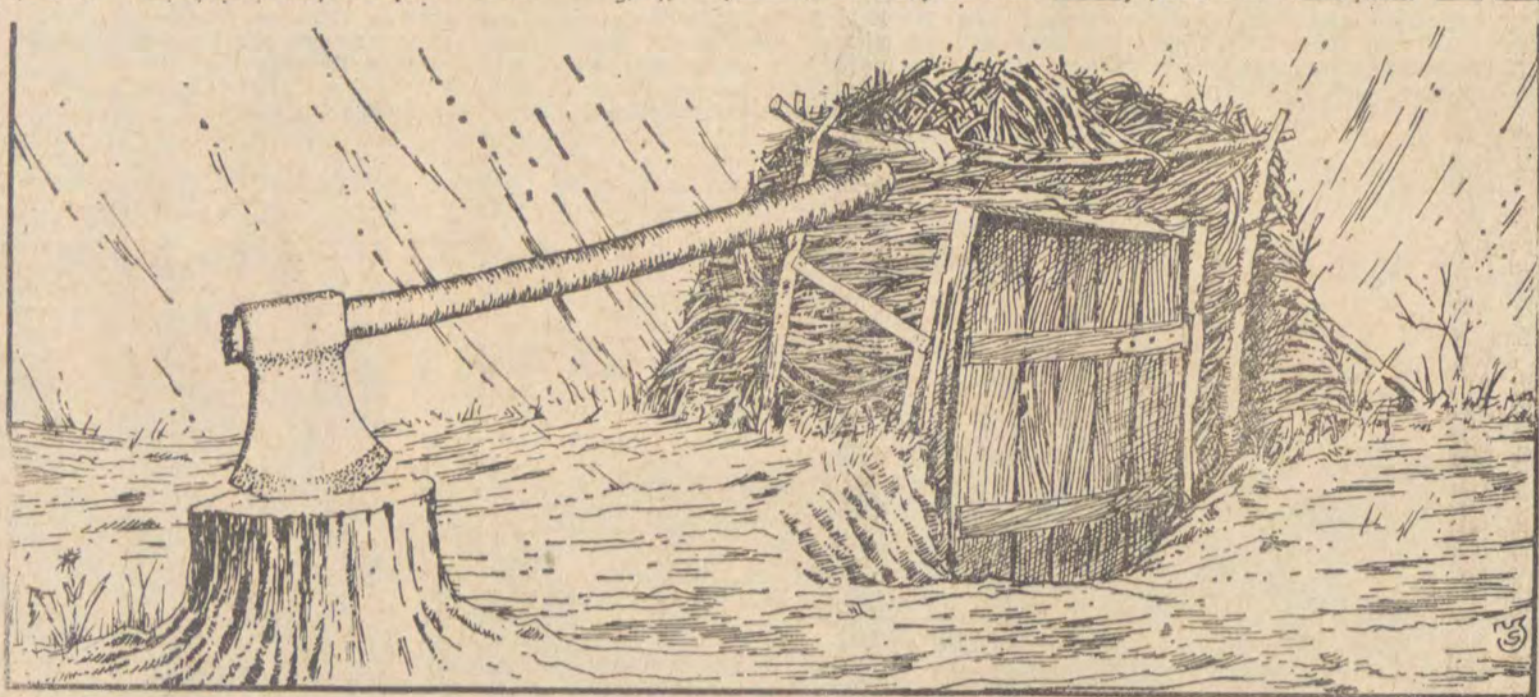
Osiedle jest duże, zamieszkują je różni ludzie. Młodzież wieczorami nie ma gdzie się podziać, grupki włóczą się pomiędzy blokami, nudzą się.

Od 25 lat jestem związana z bibliotekarstwem, ukończyłam UL oraz bibliotekarstwo i to określa moje zainteresowania. Sądzę, że pracy w radzie nie zabraknie, a moje doświadczenia nabyte przez długie lata obcowania z młodzieżą na pewno się przydadzą. Myślę, że skoro nie ma na Retkini — Południe żadnych obiektów kulturalnych, to może wzorem innych miast uda się zaadaptować pomieszczenia piwniczne dla melodrami, zespołów plastycznych, kół zainteresowań. Takie próby czyniono i zdaje one egzamin.

Przygotowanie młodzieży do pracy i życia w społeczeństwie socjalistycznym wymaga wysiłku nas wszystkich. Jeśli zostanie wybrana na radną, poświęcę tej pracy cały mój wolny czas i doświadczenie. Szcz-

Dalszy ciąg na str. 6

STARY PLANETNIK



wine czyha już potomek córki, Florentyny i zięcia Józefa. To także po to zatrzymanie mnie w polu posłał wysoki żagel kukurydzy, którym mógł zasłonić cały dom — mnie zatrzymał jej smaczny; kolbami Dała mi ona też złudzenie, że oto jestem znowu jej właścicielem mogę tu chodzić, jak tylko zechcę i nikt mnie nie zobaczy. Tam przez tę kukurydzę nie widziałem, że zapomnia, gdzie jest reszta mojego pola, mojej wody, mojego lasu i całej mojej obszyny. Nie zapomniałem tylko o walce, o bitwie. Do niej szycowałem się dopinając zbroję na ostatnie guziki.

Nagle zrobiło ci się po raz pierwszy słabo, a właściwie ni-
jaka. Złapałeś w dłoń gaźnik, a
sro zakończona w złamany w
ciem a spomiedzy suchych, po-
pokanych twoich warze docho-
przeżalił w swist twojego odde-
chu. To chyba po raz pierwszy
zdałeś sobie sprawę, że jesteś
stary. Nie na tyle jednak by
po tylu dniach wyrzecen nie-
wszystko rzucić, wyrzynać ze
zwrociestwa i pójść sobie pro-
sto na zęby. To ci na szczście do
głowy nigdy nie przyszło. Wdrę-
ły siły i oderwałeś sie od drzew
kurując sie prosto ku swojemu
dawnemu obelciu, ku ko-
-

Wiedzieliśmy Magul, że wnet rozpocznie się bitwa na śmierć i życie. Nie będzie dla ciebie córki ni brata, tak jak nie było kuma, czy przyjaciela. Miałeś już ręce we krwi, a to ułatwiało, a nawet poganiało cię niczym robotnego konia, do dalszych ran. Mówiłeś czasem do siebie, albo do Rybaka, który nam to powtórzył:

W przestworzeniach zimora-
no kryć się słomy. Zimoro-
to jedyną, która, że zięć
zrobił bolidze, słomy nie żałował,
wziął solidnie, prawie tak, jak
dawniej robił się to. Tylko kilka
kita drzew, w środku sadu, praw-
dopodobnie, przeznaczonych do
wyćniki, nie miało tego strojne-
go, słomianego kożucha. Pomy-
ślał: „Nie szkodzi”. Wszedł
ciężko do stodoły, tak by nie
poznały cie konie, które oślepio-
no wierzają i rżają, jakby się
pały jeszcze raz o swoje ślapią.
Przez chwilę trzymał się płotu
choćby wiedział, że od płotu
szaleńczał do kopoty. A kiedy
szaleńszy był do stodoły, najwa-
żniejszym było dotrzeć do zapo-
życzonego słoma. Potrzebna ci
była na użytkowanie. Potrzebna ci
choćby, którymi chciałeś chuić
osierocone drzewa, stojące w wa-
żnym goło. Słopy słomy były
wzrostem udeptane, ale nie dałeś
się odwieść ich opaności, by
ch nie wyłączała. Wziąwszy po-
twa pod każdą pachę, wysunął
się równie cicho, jak wszedł w
pole. Niosłeś je, jak dziecko do
chrustu, by nie ściełali za sobą
cieżki. Dopiero przy samych
drzewach rozwiązałeś powrośla i
porozkładasz całą rozpuszczoną i
złożoną nałże słomy, by po-
zielić ją na bledem równych ku-
pek. Takie to przed drzew czekało
słoma opatulone, które miało dać
osnąć, a nie jak według zięcia
złota, utracić swój żywot. Wzi-
miesz go, żeby nie zginął, żeby
niepozorniecznie pod lego zawie-
szyć na toporem. Obowiązujeś je,
jak żywe stworzenia. Mogło to
także wyglądać że każde drzewo
bierasz w oddzielny, modny
trój, jakby wycięty prosto z
urnala. Grusze otrzymały strój
ciężkim solidny, jakby miały być
przymiane w lodowce przez naj-
dłuższe kilka miesięcy. Słowy
miały cienkuluć sukienkę ze
działek łuszczenia, i jak na
wiosnę wysokość krótka, z za-
kroć, wyraźnie wystawały korony
łoz. Wziąwszy wszystkie łabonie,
te najważniejsze, drzewa dla ciebie
łabio, opatrzywałeś słoma od sa-
mych korzeni, pobrzązując przez
żółnięj wspinając się ku wier-
chołkowi i zacząłeś obwiązywać
wszystkie grubsze konary. W-
skazywałeś się mrozem niebie wy-
kładasz niby wielki pajak łą-
cący się konarach drzew, który
chwycie swoimi misternymi nio-
łami, aż do niebezpiecznej granicy
ich zerwania. Tak, konar po ko-
zarze obwiązywałeś wszystkie
pozostałe, osierocone przez zię-
cia łabonie które według niego
przezszego roku nie miały
odczuć cięśzyszy się z zakoń-
czonej pracy i powoli napierają
na ciebie tyłem, a później obróciwszy
się twarzą, wracają po raz dru-
gi na ciebie nosem, podwórcze,
ważnego swego gościa. Wra-
całeś tak pewnie, jakbyś chuił na
nim zapomniał, ale wiesz dobrze,
i gdzie porzucała rzecz znaleźć i
iścieś pewien, że ja jeszcze dzia-
łają odzyskać.

Fragment powieści pt. „Zła mi-
ś”, która ukaże się nakładem
dowej Spółdzielni Wydawniczej.

krótko konie, nie ma starych i wszystkie urządzenia tu zwleczone ze świata, obojętnie, jaką metodą i za jaką cenę. Nie, nikomu tego teraz jeszcze nie dasz, jako sechdy. Nie nadasz ani rok, ani miesiąc, ani dzień, ani godzina. Nie pora, by przymierzać, komu dom, komu pola, komu sad, a komu łąka, nie będziesz tego teraz rozstrzygał, gdy ciebie ciągle rozsadza energia. Cóż to jest siódmy i ósmy krzykzyk na karku dla gospodarza, który musi dalej rozstrzygać o swojej egzystencji. Niech podupadają inni, ale nie ty. Tobie nie spieszo do pogrzebu, ale jeśli już, to przedaj do pogrzebu zięcia, córki i żony, którzy zadrżną cię najbardziej. To ona przeczeka przemocą związaną z pracą, to ona przeczeka najbardziej bolesną, to ona chce wszystko zgubić w niepamięci, to ona nadaje materialne kształty nowemu początkowi, którego wykonawcą jest zięć z córką. „Sprzeniewierzyła się” — mawia-
ieś.

może przeskoczyć by stanąć na drodze, która prowadzi do twojego domu. To najważniejsze teraz i źródło było się codziennie z innym, które wykłwitało po każdej noce, jak odczarowana czarodziejską laską. Cieszyłeś się z jego bezdennych zapasów.

między siebie i tragedię, która miała się rozgrywać. Właśnie o tym raz przez swoje życie dostawała w szóstym miesiącu ciężkich bóli porodowych. Złapała na wróż, odwołała do ośrodka zdrowia. Tamte poronienia były zaskoczeniem i niewiadomą. A to? Lekarz długo wypytwał kobietę, co ostatnio robiła, jak ciężko pracowała, czy nie spotykała jak przykre przeżycia. Mówiła zgodnie z prawdą, odpowiadała tak, jak czuła. Na ostatnie pytanie nie odpowiedziała już sama. Tłumaczył się także mąż, który w swej męskiej inteligencji przejrzał wcześniej zbliżające się niebezpieczeństwo. Żołnierzem rodzila do raz trzech godzin, nie czując emocji nerwowej, jakby nie żyła. Wtedy ocalał ojciec. Nie było już wątpliwości, że w tym całym świecie, w tym całym świecie swoimi wzrębami i przeladowaniem, jeśli nie w innych, to w tym miejscu osiągnął to czego najbardziej pragnął, zemsta, o-

Nie więc dziwnego, że myśla-
łeś często i o tym. Po pierwszych
dwóch poronieniach, które przez
długi czas były smutną tajemni-
cą małżeństwa, długo nie wie-
działeś. Ale kiedy wreszcie i do
tobie stała informacja o traga-
dii, córki cięście, i jak się okaza-
ło był wykwikłakowanym, katem,
który jednym zamachem wykono-
wał wyrok, nie przynajmniej ży-
tecznego cierpienia, ani skaza-
nemu, ani tobie podejrzania o
fajfajstwo. Toteż przy trzecim
poronionym dziecku, ty stary
wiedziałeś, a właściwie myślałeś
wcześnie, jak to Zolnik dobie-
ra się znowu do twojej córki.
Jak spłajniał z sobą w łóżku, jak
zamykał drzwi nowego kolejnego bacho-
ra, jak wywlekał się z łóżka, zmy-
słszy, by tylko się wzbrodzić, o-
następce, Ten obrat nawiedził
cię często.

Kiedy chciałeś go odrzucić musiałeś niemal dosłownie zanurzać się w wykutej w rzecze przerebi, chłodzić swoje rozpalone gniewem skronie. Wpadałeś później do kryjówki i tapetałeś za głonek drapieżny — jak sam nazywałeś czarny chleb, który sobie od czasu do czasu wyzebrałeś w łowi. Na razie wyzebrałeś, boświś. Na razie wyzebrałeś, boświś. Na razie odosobnienie po groźbie zięcia, że postanowił zadenuncjować, powoli kończyło się. Ciężko, że wystarczył tego zabaleczania samego siebie, tej troski i lęku o własną skórę. Przestałeś się już bać o siebie, tak, jak to poją się ci zwierzęta, które ujrzały coś obcego i z lęku goniały przed siebie na oślep do zabicia i, do męki niemożliwej. Wiedziałeś, że robiłeś i ty tak samo, ale na początku, gdy spadała na ciebie wiesź zięcia, że do bezczarności potrzeba ci jeszcze jest wielu lat. Wiec, jak każdy człowiek zacząłeś uciekać, wdrażając zasłaniać, zatykać sobie uszy przed głosem następcy, który szedł przed tobą, jak głosem sąwego i kato, jednocześnie, że wiedziałeś dobrze, że to kolejny okłanianie na banicie leśna, nie jest już karą za popełnienie czyn, ale może być w przyszłości nagrodą za twój bezganiczny upor. Bo gdzie nabierasz tych sił, gdzie ich

...ale nie tracisz, gdzie najwię-
ciej myślisz o odzyskaniu ziemi?
Właśnie w ukryciu, właśnie w le-
cie, gdy jesteś sam jeden. Bo
dyś zjawił się u kogoś było już
naczel. Tu zwykle w rozmowie
swojej walce o powrót za-
czarłeś się, toczyłeś plany, do-
starczaś jakaniny, która nie tyl-
ko nie powodowała ci mówić, ale
także nie powodowała ci wzmoc-
nić o odosobnieniu, twoją woli
złazk by sprężyną i swojej
amici. A to była pamięć tak
oleśna, jak miazdzenie nerko-
wych kamieni.

„Tyle lat, ile krowa ta moja
stażarsza ma nacieć na rogach”
— powtarzałeś. A w tym powta-
rzaniu kryła się jedyna pieśczo-
ła, jaka sobie wynalazłeś, bo
nawet potem przychodziła nowa
złocić i nieufności, nowy
przekleństwo i obmowy,
zaczynać na wyzyskami, aż od-
działy się od niej trzęsły. „Ty za-
dajdalski synu, co pierzisz mi
ciemie i dom, umyć się nie masz
czasu. Spieszaś miądełek, spiesz
bo puszczasz, haki, już ja ci

Wychylała się twoja postać z lasu, to znowu chowała za grube konary. Wyglądałeś i kierowałeś swój wzrok w stronę własnego domu, a to znowu w kierunku obojścia Dorady, gdzie miało być przez kilka nocy schronienie. Niosłeś ze sobą robiony przez lata spis grzechów. Spis lich grzechów, to znaczy swolich następów. Wreszcie ruszyłeś naprzód znowu pod osłoną nocy. Ci, co widzieli tę postać w mroku i zbliżająca się i pochyłona, mogli pomyśleć, że oto nawija się ten wsi jakas otała. Ale ty tak nie myślałeś chociaż szczękały się psy, a pachące rozpoczynały namiętnie na łowienie myszy. Miałeś się zwrócić do każdego z ludzi we wsi trucizną, albo smrodem. Miałeś to postanowienie tylko nie wdziałeś jeszcze, kiedy dokładnie masz to wykonać. Szedłeś więc na razie wolno, jak wymyślił planetnik, któremu ma się nalać w kaptcie i dopiero przestanie swojego błędzenia. Czuleś się mocny, jak ten człowiek, który właśnie jest mocny, bo jest skończonym draniem.

Widziałeś też, jak nad wsia
byskoczyło światło elektrycznych
lamp, ale nie bałeś się ich, na-
wet wtedy, gdyby spuścili wiesz-
cące psy. Zbliżając się odczułeś
wreszcie, że przed wsią schować
się trudno. Przed jej okiem ni-
by milionowym okiem mchy nie
widziałeś. Słyszałeś więc trzaski
nie głośnie zamykanych drzwi,
choćaz nie dostrzegałeś złożeń-
sów i kłopotów, wampy, zasuwane
skobłe. Był to, tym, podłożony za-
danie jaźnie, kłóciłeś się i per-
traktowałeś ze sobą namistnie.
Widziałeś coraz lepiej, że mier-
nikiem twego odjęcia i u-
cieczki byłby inaczej i wyżej ro-
snące krzewy, drzewa, chwasty,
ogórki, rosnące w nich kwiaty
lub jarzyny. Nie myślałeś o tym,
czy bedziesz czynił teraz madrze
lub głupio. Wiedziałeś, a może
tępo czułeś, że i medrowi ro-
zumu, tonie, wtedy musi się
stać, stać troszczyć o sól oliwy, nie-
czuć lub kawałek polana na
popał. A przede wszystkim o u-
krycie siebie samego, przed każ-
dym ludzkiem, poszczególnym o-
ciem. Miałeś dużo tego wielo-
razowego leżenia w łóżu zimy.
A kiedy popatrzyłeś po sobie je-
zcze bardziej zauważyłeś, że
wszystko co cie dokłóno i dopro-
wadziło do dzisiejszej sytuacji,
to okrutna, brutalna drwi-
na, parodia życia, świata, cywil-
izacji, która niósł z sobą, i
złota, kompromitacja i poahnie-
nie wszystkich usłyszanych i o-
trzymanych nauk za święte. A
przede wszystkim sprawiedli-
wość. Patrzyłeś z daleka na swoje
łomostwo i czekałeś na coś, jak
twożona brzytwa. Widziałeś
wyraźnie, jak nigdy, że wszystko
co zbudowało powstało w krwa-
wopoci. W rzeczywistości był
ty tam także i naczyni i przeklen-
stwa, a może nawet tylko to o-
statnie.

Teraz byłś głodny. Dzwon z
tęczy wsiowego kościoła zataczał
złwiekiem wielkie „O”, a po-
m „M”. Doznawałeś jeszcze
rękawskiego uczucia kłaknienia, któ-
re doprowadzało cię do myśli, że
ty możesz chwycić się padliny,
bliznąć się bałes się jedno-
ześnie, że gdyby tróika następo-
w i nowych dziedziców sku-
ecznie nie skula i milicja przy-
ję złożyć ci kajdany, nie be-
dziesz mógł już nic robić. Nie
mógł ani jednej skiby. Dla-
tego twoja myśl pracowała
nad jednym: nie dać się głupio
apać. Miałeś sobie do wyrzu-
cenia bawdział, nie byłes
bardziej zły, a nawet prze-
żądający dla nich, bo wtedy mo-
gli spuścić z tonu. Być może
winieliś iść z selekiera, a nie
zwać w lesie, a tak to tylko cze-

Publicyści poruszają na łamach wielu różnych pism wiele różnych problemów. Czytamy zatem codziennie o szkodliwości palenia tytoniu, o zgubnych skutkach picia wódki, o konieczności mycia zębów, o tym, że w tramwajach młodszy powinien ustąpić miejsca starszemu, o problemach seksualnych młodzieży, o chamstwie kelnerów i opieszałości urzędników, a tymczasem naród popelnia harakiri.

w ten sposób tracimy miliony! Ale co mi się zdaje, że przez niedocenianą, lekceważoną, traktowaną pobłażliwie wandalizm naszych pięcioletnich i czterdziestoletnich dzieci tracimy miliardy. Tracimy także godność cywilizowanego narodu. Mówi się, że Polska jest zasobna, bogata, ale chyba nie tak bardzo, żeby podcinać sobie żyły?

Uzbrojone w ostre narzędzia rączki każdego dnia dokonują mordu na tym naszym społecznym bogactwie. Zobacz, jak wyglądają firanki w pociągach, zobacz, jak wyglądają kocary w świetlicach, zobacz, jak wygląda ustronny przystanek tramwajowy, który ma umilić ludziom oczekiwanie, zobacz wreszcie, jak wyglądają toalety publiczne (nie to, że brudne, ale poobtlukiwane), nieliczne już budki te-

wierzaniem głową, a pod jego stopami chrzęściły tysiące kawałków nieuprzątniętego mlecznego szklawa.

Plakać się chce. Nie z żalu, tylko z wściekłości. Jak wychowujemy te nasze dobre, kochane dzieci o czystych rączkach? Skąd bierze się w nich tyle bezprzykładnego okrucieństwa? Musi przecież być tutaj jakiś błąd dydaktyczny, który sprawia, że drogie małenstwa wyrządzają nam po cichu taką krzywdę.

3.

Zepsuj huśtawkę, na której się huśtasz. Złam młode drzewko, podep-

(co miało miejsce w Łodzi i innych punktach kraju), chyba że będzie tu chodziło o jakąś religijną czy polityczną demonstrację. Nasi rodzimi wandalie nie demonstrują jednak w imię jakiegokolwiek ideałów. Są apolityczni. Niszczą dla samej przyjemności niszczenia.

Kiedyś wszedłem do windy, z której wychodził akurat schludny, dziesięcioletni chłopak. Był niezwykle czerwony na twarzy, co niebawem skojarzyło się moim zmysłom z oderwanym płatem sztucznego tworzywa, którym wyłożone były boki szybu.

Zatrzymałem tego aniołka o bezwzględnie czystych rączkach i bezwzględnie inteligentnej buzi.

Zaczęłam przebiegle, od końca:

ranek w pociągu, oderwała uchwyt w tramwaju? Trzeba by dokonać badania daktyloskopijnego, ale w takich błahych wypadkach nie stosuje się owych zabiegów, tym bardziej, jeśli podejrzanym jest dziecko. Poza tym — ludzie, tłum, społeczność domu zawsze stanie po stronie dziecka.

Starszy człowiek zwrócił uwagę smarkaczowi, żeby nie pluł na schodach. W drzwiach ukazała się nagle twarz mężczyzny, który był ojcem smarkacza i starszy człowiek usłyszał:

— Nie czeplaj się pan!

— Ależ proszę pana — powiedział starszy człowiek. — Uważa pan, że wolno pluć na schodach?

— Jakby były spluwaczki, to by pluł do spluwaczek. — I głośno trzasnęło drzwiami.

Fakt. Nie ma spluwaczek. I chwala Bogu. Plucie jest nalogiem. Od plucia można się odzwyczaić. Wystarczy odrobina dobrej woli. A jeśli ktoś naprawdę musi dokonać tej wykwinłej czynności, ma po temu wiele stosowniejszych miejsc niż chodniki i schody.

4.

Gdybym zrobił wśród czytelników ankietę, litania demolowanych bezinteresownie przedmiotów wydłużyłaby się o kilka stron. Nie chodzi jednak o to, żeby wylizywać i mnożyć fakty wszystkim doskonale znane. Istotniejsze jest chyba działanie profilaktyczne. Byłoby dobrze, gdyby wybitni umysły publicystyczne i pedagogiczne — owa rozgadana armia profesorów, docentów i doktorów zastanowiła się poważnie nad aspektem tej sprawy. Byłoby dobrze, a może najlepiej, gdyby zastanowili się nad tym rodzice, którzy w końcu mają decydujący wpływ na kształtowanie charakterów młodych ludzi, na ich obyczaje, nawyki i stosunek do świata.

Praktyka wskazuje, że można wychować nawet najbardziej krnąbrne i odporne dzieci. Zatem — poszanowanie dla własności społecznej powinno być wpajane synowi i córce od najwcześniejszych lat. Powinno stać się drugim abecedem — nie niszcz, nie psuj, nie brudź, przecież to twoje! Powinny być także surowe sankcje za łamanie tych przykazań. Ciężko mi to powiedzieć, bo przeciwny jestem policyjnym obyczajom, ale w wypadkach, kiedy tu i ówdzie, w jakimś domu, bloku, gmachu publicznym nastąpił akt wandalizmu, społeczność we własnym zakresie powinna przeprowadzić śledztwo. Rzecz jasna — nie zawsze zakończy się ono powodzeniem, nie zawsze uda się wykryć sprawcę, ale niech on wie, że jest szukany, potępiony, że za drugim razem może się potknąć.

Jestem wściekły, kiedy rozmawiam z ludźmi po ich zagranicznych wояżach na Wschód i na Zachód, i słyszę ich zachwyty:

— Ależ tam czysto, pięknie, schludnie, nawet trawa rośnie inaczej.

Przecież owa piękność, czystość i schludność zależy właśnie od nas samych. Nie rząd, nie magistrat, nie milicja czy policja wywiera decydujący wpływ na estetyczny wygląd miasta, osiedla, wioski. I w Łodzi można znaleźć tego dowody. Za sprawą ludzi jedne domy są piękniejsze od innych domów, choć jedne i drugie wyszły spod tej samej sztafry. Tu walają się śmieci, cegły i deki, tam jest starannie przystrojony trawnik. Tu betonowe klepisko, tam alpinarium. Tu brudne, tam czyste okna. Tu zadbane balkony, a tam zawalone jakimśi gratami.

W moim osiedlu, którego dominiantę stanowią jedenastopiętrowe bloki, ostało się jakoś kilka prywatnych domków jednorodzinnych, zwanych popularnie willami. Mówiąc z ręką na sercu — szpecą. Codziennie patrzę z góry na ich brudne, koślawe dachy i zagracone podwórka. Nikt ich nie odnawia, nie remontuje, ściany z wykruszonych bordowych cegieł są kolorystycznym dysonansem w pejzażu kremowych wieżowców. Znajdujesz tu jednak pewien nieduży domek, którego właściciel, mądry człowiek, postanowił wkomponować się w blokową architekturę, wychodząc z założenia, że dzięki temu przetrwa, ostatecznie się rozbił.

Pomalował ściany swojego domu tą samą farbą, którą pomalowane są bloki. Postawił wokół niego ogrodzenie bliźniaczo podobne do tego, które otacza pobliskie przedszkole. Nie zeznawał przy tym z akcentów indywidualnych, sięgając po barwy, których bloki nie mają, ale które nie klóć się z nimi — okna, parapety, garaż — wszystko to wyglądało kolorowo i schludnie. I nie sądził, aby kosztowało zbyt drogo. Podziwiam gospodarności i rozsądek tego człowieka. Wierzę również, że nikt nie zamierzy się na jego posiadłość.

5.

Wracając do tematu — naucz swoje dziecko dbać o wielki spółdzielczy blok, tak, jakby to był twój mały, prywatny domek. Wtedy nie będziesz wstydził się znajomych, którzy przyjeżdżają z zagranicy, i których ze spuszczonej głowy prowadzisz przez niechlujną klatkę schodową do progów swojego luksusowego mieszkania.

Andrzej Makowiecki

hARAKIRI

lefoniczne, pocztowe kartki i oznaczeń kodowych, ogrodzenia w szkołach i fabrykach. O każdej tej sprawie można by napisać osobny raport. Szwedzko-polski lunapark w Parku Kultury i Wypoczynku jest do-

kwiaty. Trzepnij kamieniem w latarnię, która oświetla ci drogę do domu...

Odwiedziłem wiele krajów, biednych i bogatych, i nigdzie nie zetknąłem się z takim stosunkiem do przedmiotów użyteczności publicznej.

— Mieszkasz w tej klatce?

— Tak.

— Na którym piętrze?

— Na szóstym.

— Łatwiej wjechać tam windą niż wejść pieszo, prawda?



Foto: W. Malek

Mamy wielu wybitnych specjalistów od spraw wychowawczych, którzy tokują często w radio i telewizji na temat programów nauczania i przesądów dojrzewania. Ich wystąpienia przepojone są troską o przyszłość młodego pokolenia, które powinno być mądre, dobre, patriotyczne, zaangażowane i pracowite. Tak jest! Armia profesorów i docentów, nauczycieli i działaczy społecznych nie ustaje w boju o właściwe kształtowanie charakterów, a tymczasem pod ich czujnym okiem i pod czujnym okiem rodziców — ci, których nazywamy patetycznie przyszłością narodu, popelniają na sobie harakiri.

Żeby nie przeciągać wstępu — chodzi mi o zgraje Hunów i Wandalów, działających owocnie na terenie całego kraju — w każdym, małym i dużym, mieście, w każdym osiedlu i włoście, wszędzie!

Nie ma człowieka, który nie zetknąłby się kilka razy dziennie ze skutkami owej działalności, no bo (aż strach mnie bierze, że muszę zacząć tę diabelską litanię) wszyscy oglądamy w drodze do pracy zdewastowaną klatkę schodową we własnym, bogatym, czy biednym, domu. Były plafony — nie ma plafonów, były żarówki, nie ma żarówek, było lustro w windzie, nie ma lustra. To można jeszcze od biedy podciągnąć pod tak zwane złodziejstwo, ale dalej zaczyna się już małpia, kretyńska, bezinteresowna złośliwość...

Ledwie wczoraj oddali blok do użytku, a dzisiaj masz już pierwsze ghamskie rysy na ścianach. Jutro i pojutrze będzie jeszcze gorzej — po wybijane szyby w piwnicach, poobrywane skrzynki pocztowe, plastik, którym wyłożono poręcz, zostanie tu i ówdzie pocięty nożem, a tam i sam leżącym usunięty; wszelkie tablice informacyjne i listy lokatorów zostaną oplute i podarte, każda śrubka zostanie wykręcona, każdy miękki kawałek drewna rozłupany. Nocą cicho silne ręce przewrócą na podwórku stojak do trzepania dywanów i po wyginają w sobie tylko znany sposób pojemniki na śmieci. Framugi drzwi wejściowych wylecą z zawiasów, po klatkach zostanie tylko dziura...

Kochane dzieci, myjcie ręce przed jedzeniem! — nawołuje armia pedagogów. — Bądźcie dobre. Dbajcie zimą o karmę dla ptaszków, przeprowadzajcie niewidomych przez jezdnię, nie denerwujcie tatusia i mamusi, bo są zmęczeni...

Ale ja, człowiek podejrzliwy i nieufny, jestem głęboko przekonany, ba! mam na to dowody, że instynktom demolacyjnym ulegają w naszym polskim społeczeństwie nie tylko dzieci o brudnych rączkach, nie tylko dzieci zaniedbane i źle wychowane. Poza tym — wiek tych dzieci sięga czasami od lat pięciu do czterdziestu pięciu, albowiem wykształciła się w nas samobójcza świadomość, że własność społeczna jest własnością niczyją, że wszystko, co pozostaje poza granicami naszego mieszkania i z czego codziennie nie musimy korzystać, trzeba zniszczyć, zdewastować, opluć, przewrócić — niech przypadkiem nie wygląda za ładnie, niech nam przypadkiem za długo nie służy.

2.

Pocięte zyletką siedzenia w autobusach, poobrywane rączki w tramwajach, wygrawerowane nożami ławki w szkołach i ławki w parkach, które — wydawałoby się; niezniszczalne, o żelaznych podstawach i solidnych drewnianych oparciach — też jakas mocarna ręka Herkulesa potrafi przyciąć do ziemi. Publicyści piszą o konieczności ujawniania rezerw produkcyjnych i potrzebie walki z marnotrawstwem — o! tam się marnują jakieś deski, ówdzie zaś niszczą cegły, ktoś nie przyznaje się do poruczonego ciagnika, ktoś wystawił na wiatr i deszcz precyzyjną maszynę z imieniem. Komentarz zawsze ten sam:

piero parolatką, a na obrzeżach przypomina rumowisko złomu. Muszla koncertowa wspomnianego parku, a więc miejsce, gdzie możesz czasem posłuchać za darmo muzyki i popatrzyć w pogodny, ciepły dzień na tancerzy zespołów amatorskich — owa muszla wygląda tak, jakby była poligonem strzeleckim, albo zleniawiona forteca wroga. Poobtlukiwane mury, oberwana z desek estrada. W suficie nad sceną było kiedyś kilkanaście dużych, mlecznych lampionów, ale okrutne, celne ręce wandalów potrafiły rozbić je co do jednego, w drobny mak. Nasz znakomity, reprezentacyjny bramkarz, Jan Tomaszewski, który ćwiczył samotnie kilka dni temu w tamtych stronach, wszedł na ową nieszczęsną scenę i kręcił z niedo-

Bogactwo bierze się właśnie z szacunku do tych przedmiotów, natomiast ludzie biedni, mieszkający za granicą w ubogich domach bez telewizorów, gorącej wody i gazu, czują się właśnie bogatsi poprzez to, że mogą korzystać z czystych autobusów, że mogą usiąść na niezdevastowanej ławce w parku, że mogą przejść się ładną ulicą, która przecież w tym samym stopniu jest własnością ich, biedaków, co bogaczy — wszyscy chodzą po tym samym chodniku, patrzą na te same domy, korzystają z tych samych sklepów. Biednemu nie przyjdzie do głowy mścić się na pomnikach (co miało przecież miejsce w warszawskich Łazienkach i innych punktach kraju), nie będzie wydawał swej furii na omentarzach

— Taaak. — Niewyraźne skinienie głową.

— Więc dlaczego ją demolujesz?

— Ja... ja nie demoluję...

— Owszem, oderwałaś to przed chwilą.

— To nie ja...

— Ty.

— Nie, wcale nie!

Mógłbym go wziąć za ucho i zaprowadzić do rodziców, gdzie zresztą, prawdopodobnie, zostałbym zwymyślany. No, bo jakie mam dowody?

I to jest najgorsze. Przedmioty użyteczności publicznej są ogólnie dostępne dniem i nocą; możemy niszczyć je bezkarnie, bo o dowody jest niezwykle trudno. Jak udowodnić, że to właśnie ta a nie inna rączka cisnęła kamieniem w szybę, podarła fi-

MÓWIA KANDYDACY NA RADNYCH:

Dalszy ciąg ze str. 3

gólną funkcję przypisuję książce, której wychowawczą rolę od dawna udowodniono. A po drugie, ile talentów zostaje zaprzepaszczonych tylko dlatego, że we właściwym czasie nie zostały dostrzeżone. W osiedlowych placówkach kulturalnych musimy rozwijać nie tylko zajęcia wypełniające czas wolny młodzieży, ale naszym obowiązkiem jest dążenie do zaspokajania ambicji, do rozwijania zdolności i wyzwalania najsłabszych cech charakteru.

KRYSTYNA SOBIERAJSKA dziennikarz z Głosu Robotniczego

Już postanowiłam: jeśli zostanie wybrana na radną to poświęcę się pracy w komisji rozwoju gospodarczego i gospodarki terenowej. Dlaczego akurat w tej komisji? Buduje się w Łodzi dużo, lecz na mieszkanię czeka się ciągle kilka lat. To bardzo poważny problem. Dodatkowe zagadnienie, to nie tylko kiedy otrzyma się upragnione mieszkanie, ale jakie ono będzie. Myślę, że tu rysują się duże możliwości dla tzw. czynnika społecznego, który uczestniczy w odbiorze gotowych mieszkań. Jest rzeczą niezwykle ważną, by mieszkania były przekazywane przez budowlanych bez usterek, by człowiek, który wiele lat czekał na przydział, nie zaczął od remontu, by nie poprawiał po brakorobach z przedsiębiorstw budowlanych.

Z tym wiąże się także inna sprawa: trzeba pójść na rękę przyszłemu użytkownikowi i pozwolić mu na wybór wystroju wnętrza przydzielanego mu mieszkania. Często jest tak, że ktoś planuje na podłogę wykładzinę, a zastaje płytki pcv, które zrywa potem i wyrzuca; albo kupuje tapetę, a zastaje mieszkanie pomalowane. Po prostu chodzi o racjonalne użytkowanie materiałów budowlanych. Dlatego społeczny wkład w to co się buduje jest tak ważny.

Nie ma także u nas propagandy wizualnej budowanych mieszkań. Myślę o makietach i planszach itp. Należałoby dać ludziom możliwość zgłoszenia własnych uwag, zastrzeżeń, propozycji. Otrzymując mieszkanie nikt nie ma dokładnego pojęcia jak ono wygląda, co w nim jest. Bierze się w ciemno. Stąd potem tyle rozgorzceń, kłusów, utyskiwań, pretensji. Myślę, że jesteśmy na tym etapie, kiedy należałoby wprowadzić dyktando architektów aby przyszły użytkownik mógł nie tylko uzyskać fachową poradę, ale zgłosić własne, częstokroć uzasadnione uwagi czy propozycje. Odbiorca mieszkania winien mieć możliwość udziału w budowie mieszkania, którego właścicielem ma zostać. Tak więc pracy będzie sporo, ale będzie to praca na pewno potrzebna.

BARBARA WALKÓWNA-ZBIROG aktorka Teatru Nowego

Sądzę, że moja praca w poprzedniej kadencji rad narodowych sprawiła, że kandyduję ponownie. Z mojej inicjatywy, w dwóch ośrodkach przedszkolnych (przy ul. Kasprzaka i Wapiennej) zorganizowaliśmy kursy wymowy. Tej sprawy jakoś nikt dotąd nie poruszał, choć wszyscy wiedzą jak bardzo źle jest z tym na co dzień. Nasz piękny język został zupełnie zaniedbany, każdy mówi jak chce, powstają dziwne nie tylko znaczeniowe, ale dźwiękowe. Namówiłam więc swoich kolegów z teatru i dwa razy w tygodniu przeprowadzaliśmy ćwiczenia z przeszło 70 osobową grupą dzieci. Przy okazji uczyli się także nauczyciele i wychowawcy. Oczywiście, nie robiliśmy tego na żywioł. Przygotowaliśmy specjalne zestawy ćwiczeń i stosując zasadę „uczyć bawiąc”, prowadziliśmy coś w rodzaju szkolki poprawnego mówienia. Myślę, że i w tej kadencji będę robić to samo.

Moje doświadczenia z młodzieżą nasunęły mi sporo innych uwag, np. uregulowania wymaga sprawa tzw. zakładów patronackich nad szkołami. Jakże często pleczę nad szkołą sprawując zakład oddalony od niej o parę ulic, czy nawet mieszczący się w innej dzielnicy, a duża fabryka znajdująca się tuż obok tej szkoły, akurat patronuje placówce szkolnej w innym końcu osiedla czy dzielnicy. Po co te komplikacje? Przecież o ile łatwiej sprawować opiekę nad szkołą będącą najbliżej!

Z myślą o młodzieży, o jej wychowaniu estetycznym, staramy się u siebie w teatrze przygotowywać programy, szczególnie na Małej Sali, przeznaczonej dla młodego widza. Przekonałam się, że gros widzów stanowi młodzież, która zjawia się bez specjalnej agitaacji, a przychodzi z potrzeby obejrzenia spraw wspólnych, nieraz trudnych, lecz zawsze dotyczących najbliższej nam rzeczywistości.

Jestem przekonana, że będąc członkiem rady nie ułatwię sobie życia, ale i żyć bez pracy społecznej jest niezwykle trudno, szczególnie, kiedy tyle jest do zrobienia.

JERZY MICHONSKI solista Teatru Wielkiego

Zawsze byłem i pozostanę rzecznikiem wychowania młodego pokolenia poprzez sztukę. Obserwujemy zastraszające zubożanie gustu młodzieży, która akceptuje i przyjmuje rzeczy przeciętne, łatwe, nieraz prymitywne. To prowadzi do stopnia wyobraźni, do obniżania ambicji artystycznych. Jestem przekonany, że moja praca w olbrzymim procesie wychowawczym poprzez sztukę znajduje zrozumienie i uzyska poparcie. Nasza kultura narodowa posiada wspaniałe bogactwa, które należy przybliżyć młodzieży, nauczyć ją cenić wszystko co piękne i wartościowe, co wyrosło z tradycji narodowych. Dlatego większą niż dotąd uwagę powinno się zwrócić na propagandę wychowania poprzez sztukę w środkach masowego przekazu zwiększając ilość godzin w programach poświęcając jej tzw. sztuce poważnej. Niedługo czeka nas reforma szkolnictwa: nie można dopuścić by przepadła sprawa kształcenia estetycznego młodzieży. Jest to sprawa ważna, długofalowa, ale możliwa do zrealizowania.

W dzielnicy, w której kandyduję, znajduje się większość placówek kulturalnych. Umożliwi to lepszą konsultację bezpośrednią z twórcami i odbiorcami sztuki.

Inna sprawa, to uczestnictwo młodzieży szkolnej w życiu teatralnym miasta: odbiór teatru jest zastraszająco niski w porównaniu z możliwościami. Ta sprawa nie jest dotąd uregulowana od strony organizacyjnej. Owszem, zdarza się, że młodzież przychodzi do teatru, lecz sama, bez opiekunów, co stwarza nieraz niepożądany ferment na widowni. A po nadto, sprawa ogromnej wagi: często uczeń bywa zdezorientowany. Biorąc pod uwagę to, co widzi na scenie, a tym co o danej sztuce słyszy w klasie — jest zasadniczo różnica. Dlatego jeśli zostanie wybrany na radnego, będę postulować o zacieśnienie współpracy pomiędzy teatrem a środowiskiem szkolnym i poświęcę się sprawie wychowania młodzieży poprzez sztukę.

STANISŁAW HEIMBERGER solista Teatru Wielkiego

Zdaję sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na mnie spadnie z chwilą wybrania mnie na radnego do rady narodowej Łódź — Śródmieście. Postanowiłem, że terenem mojej działalności na rzecz miasta, będzie komisja zajmująca się ochroną naturalnego środowiska człowieka. Łódź, ta ogromna aglomeracja miejska, jest niestety upośledzona pod względem zasobów zieleni, basenów, miejsc rekreacji itp. Szczególnie dotyczy to dzielnicy śródmiejskiej. Tu bowiem skupia się życie kulturalne, rozrywkowe, handlowe. Każdy z nas, a artystów dotyczy to szczególnie, spędza tu większość dnia: pośród wąskich, hałaśliwych uliczek, wśród murów pnących się coraz wyżej, w powietrzu przesyconym spalinami. Jako śpiewak odczuwam to szczególnie intensywnie.

Bardzo dobrze, że wyburza się stare ruiny, że wznosi się potężne wieżowce o dużych oknach, z balkonami, słoneczne i funkcjonalne. Ale smuci fakt, że tak mało miejsca zostawia się dla zieleni. Na miejscu ruiny stawia się blok mieszkalny, a małe skrawki ziemi objawia się trawa. Takie planowanie niczego nie rozwiązuje. Budując wieżowce należy pomyśleć także o nowych miejscach rekreacji: zieleni, basenów, boiska i to nie tylko dla młodzieży, ale także dla tzw. starszych panów, gdzie mogliby uprawiać sporty rekreacyjne. Nie każdego stać, aby co dzień jeździć do Łagiewnik, czy Arturówka. Ścieżki zdrowia powinny być na każdym osiedlu, tak jak place zabaw dla dzieci i młodzieży. W praktyce wygląda to jednak tak: buduje się wieżowiec, a przy nim place brukowane z przeznaczeniem na parking, a dla zieleni przeznacza się niewielkie skrawki.

Inna sprawa, to sadzenie drzew: z reguły w czasie prac budowlanych stare drzewa zostają wycięte. Te, które jakoś przetrwają, są natychmiast obmurowywane i obelwane betonem. Po roku te drzewa usychają z braku wody.

Tak więc myślę, że pracy nie zabraknie, bo gdybyśmy nie wiem ile zrobili dla miasta w tym zakresie, nigdy w Łodzi nie będzie za dużo drzew, krzewów, basenów i boisk.

Opr. EUGENIUSZ IWANICKI

W pierwszej połowie grudnia 1939 roku rozpoczęły się w Łodzi wysiedlenia. Szeregi uczennic znowu zaczęły się przemieszczać. Coraz więcej miejsc w ławkach świeciło pustkami. Ale nauka trwała. Trwała do samych ferii Bożego Narodzenia. Po feriach okupant przystąpił do zamknięcia szkół podstawowych i średnich na terenie ziem przyłączonych do Rzeszy. Ten sam los spotkał naszą uczelnię, składającą się ze szkoły podstawowej oraz gimnazjum i Liceum Adeli Koziolkiewicz-Skrzypkowskiej. Gdy po zimowych feriach groźno nauczycielskie stawilo się do pracy, zastało drzwi zamknięte i opiekowane. W wąskim korytarzyku zebrała się niepotrzebna już — zdawało się — grupka ludzi.

Postanowiliśmy uczyć dalej, w zmniejszonej tylko formie. Za pośrednictwem rodziców dzieci, którzy byli w bliższych kontaktach ze szkołą, powiadomiono młodzież, by zapisywała się na komplety w mieszkaniu Anny Obergowej przy ul. Wigury 13.

Do pracy w kompletach gimnazjalnych i licealnych przystąpiły koleżanki:

Stefania Fejowa — ucząca biologii, matematyki, fizyki, chemii, niemieckiego.

Zdzisława Gardowa — historii oraz łaciny i botaniki.

Maria Katrowa — geografii, fizyki, chemii.

JADWIGA KOSZAŃSKA

„PRZYSZLIŚMY PO ŚWIATŁO WIEDZY...”

Jadwiga Koszańska — jęz. polskiego, historii, geografii.

Jadwiga Sikomska — jęz. polskiego, geografii, zoologii.

Irena Koszańska — jęz. łacińskiego.

Teofil Katra zorganizował komplety spośród uczniów Gimnazjum i Liceum A. Zimowskiego. Oba zespoły współpracowały z sobą, przekazując sobie wzajemnie specjalistów, o których było trudno.

Więści o zorganizowaniu kompletów przekazywane drogą ustną przez uczniów koleżankom i kolegom sprawiły, że chętnych do nauki przybywało coraz więcej. Zgłaszały się uczennice z innych szkół: z Gimnazjum i Liceum H. Miklaszewskiej, J. Czapczyńskiej, a także z Państwowego Gimnazjum i Liceum im. E. Sczanieckiej, gdyż nauczyciele tych szkół bądź wyjechali do Generalnej Guberni, bądź też zostali wysiedleni.

Nauka w kompletach odbywała się w pierwszych mieszkaniach w grupach nawet doś liczących (7—10 osób). Wobec wrażliwości jednak terroru hitlerowskiego, zdecydowanie wrogię postawę Niemców, zwłaszcza młodzieży z Hitlerjugend, należało zachować jak najdalej idące środki ostrożności. Zmniejszaliśmy wówczas ilość uczniów w kompletach do liczby: 4—6. Ilość kompletów była różna, wahała się w granicach od 10 do 16 i więcej w ciągu roku.

Coraz więcej młodzieży pragnęło uczyć się. Już nie tylko rodzice, ale młodzież sama, nawet nasi uczniowie zabiegali o umieszczenie na kompletach najbliższych kolegów. Któregoś dnia po skończonych zajęciach szkolnych Danusia Trojanowska, jedna z najzdolniejszych uczennic, zwłaszcza w naukach ścisłych, zwracała się z serdeczną prośbą, by udzielić lekcji jej koleżce, która straciła już 2 lata nauki, a jest zdolna, wartościowa, zasługująca na to, aby się uczyła. Konczy rozmowę stwierdzeniem, że dom jest pewny. Nikomu nie odmawiałymy pomocy w kształceniu się. Jurek Wojciechowski rozpoczął naukę i nie zawiodł nadziei.

Innym znów razem wśród szarugi jesiennej nad wieczorem, ktoś puka do moich drzwi. Kto by to mógł być?... Na taką niepogodę odwiedziny w Marysini III... Drzwi otwierają się, wchodzi dwaj chłopcy. Jeden z nich woła od progu: „Przyszedliśmy po światło wiedzy”. Rozmowa uolewająca, że wojna nie kończy się, lata płyną, a oni zdążyli zapomnieć, czego uczyli się w 1939 roku. Takie i tym podobne rozmowy z młodzieżą powtarzały się.

Poza wspólnymi kompletami każda z nas uczyła jeszcze młodzież w wolnych godzinach tygodnia i w niedziele w miejscu zamieszkania. Na lekcje do mnie przychodziło kilka dziewczyn i kilku chłopców z mojej dzielnicy, z Bałuty; wśród nich grupka trzyosobowa chłopców: „Leszek” (Stanisław Gajek) i jego koleżki, Franek i Mietek. Na lekcji byli uważni, skupieni, może — jak na swój wiek — zbyt poważni. Przychodzili zawsze punktualnie, ale pewne niedzieli spóźnili się znacznie. Zaraz na wstępie wyjaśnili, że Niemcy zarządził, by Polacy oddali narty, jakie są w ich posiadaniu. Z dumą opowiadali, że narty swoje spalił, a Niemcom ich nie oddali.

Wkrótce uczniowie ci przestali uczęszczać na lekcje. Dopiero po akcji na sklep z bronią przy ul. Piotrkowskiej dowiedziałam się, że należeli oni do organizacji Promienistych. Praca w konspiracji coraz bardziej

ich pochłaniała, co potwierdziły późniejsze wydarzenia. Gdy chłopcy ci stali się żołnierzami Gwardii Ludowej, opuścili Łódź, naukę zostawiając na okres późniejszy.

Z następnymi tej akcji (20.II. 1943 r.) zetknęłam się następnego dnia. Wyruszyłam, jak zwykle, na lekcje o godzinie 6,30 według ustalonego planu. Wsiadłam do tramwaju zjadającego w stronę miasta. W ciągu drogi nie specjalnego nie zdarzyło się, lecz kiedy już wysiadłam na pierwszym przystanku przy ulicy Pabianickiej, ujrzałam grupę zamkniętą, rozstawionych po przeciwnej stronie tej ulicy. Z przerażeniem uświadomiłam sobie — obława! Co robić? Wracać?... Musiałabym przejść na drugą stronę ulicy, a to niemożliwe. Miałam przy sobie mapę, teksty źródłowe do historii, teksty łacińskie. Zdecydowałam się iść na lekcje. Podbiegłam szybko do furki, zadzwoniłam i znalazłam się w domu, gdzie czekał już na mnie uczeń. Pierwsze godziny były pełne napięcia. Każdy dźwięk dzwonka, czy też głośnie rozmowy dochodzące z ulicy elektryzowały nas, gdyż wydawało się, że obławę przerzucano już na domy po naszej stronie ulicy. Oddechaliśmy dopiero po kilku godzinach. Dowiedziałam się później, że obława ta miała na celu wykrycie miejsca, gdzie ukryto broń i amunicję, zdobytą w sklepie przy ul. Piotrkowskiej 83.

Lekcje odbywały się w mieszkaniach rodziców uczniów. Najchętniej korzystaliśmy z lokali polskich lekarzy i dentystów. Tam w określonych godzinach panował ruch pacjentów i młodzież przychodząca nie zwracała niczyjej uwagi. Przez cały okres wojny, z pewnymi tylko przerwami, odbywały się lekcje 2 kompletów w obszernym mieszkaniu dr. Szczepana Zamojskiego przy ul. Piotrkowskiej 273. Lokal miał też zaletę, że posiadał dwa wejścia: jedno z frontu, drugie od podwórza. Z niego właśnie korzystaliśmy. W czasie lekcji Wł. Zamojska była na posterunku. Od czasu do czasu pojawiała się w gabinecie, w poczekalni i czuwała, by ktoś niepowołany nie znalazł się na terenie mieszkania.

Drugim domem, który udzielał gościnę tajnym kompletom przez cały okres okupacji, był dom Łajsow — początkowo przy ul. Orlej, później przy ul. Traugutta. Trzecim miejscem stał się pracowni naszych kompletów było mieszkanie Niedzielskich przy ul. Felszyńskiego 22. Większość lokali, gdzie prowadziłyśmy lekcje, znajdowała się w południowej części miasta, najwięcej na periferiach: Chojnach, Dąbrowie, Rokiciu, przy ul. Pabianickiej, Felszyńskiego, Przedzianinie, Targowej, Fabrycznej. Głównie na Chojnach, Dąbrowie i Rokiciu mieszkali Polacy przesiedleni z innych dzielnic Łodzi. Tam właśnie odbywały się lekcje w najbardziej trudnych warunkach mieszkaniowych. Bardzo często jedna izba służyła za pomieszczenie całej rodziny. W porze zimowej ogrzewano ją przy pomocy żelaznego piecyka.

Pamiętam jedną taką izbę. Na Chojnach, daleko za torem stał mały parterowy domek. Wechodzilo się do niego przez sionkę. Ta była jednocześnie spiżarnią i pomieszczeniem na gospodarskie rzeczy. Pokój wypełniony był po brzegi najpotrzebniejszymi sprzętami: trzy łóżka ustawione piętrowo i trzy normalnie stojące na podłodze, kuchnia przy ścianie i stolik na środku pokoju. Tu pracowało i odpoczywało 6 osób. W czasie, gdy odbywały się lekcje, obecna była matka chłopca. Ale zdarzyło się, że ojciec ucznia zachorował i leżał przez kilka tygodni. W czasie lekcji z piętrowego łóżka dochodziły ciche jęki. Na prośbę rodziców ucznia lekcji nie przerywaliśmy. Nie było to osobisty przypadek.

W domu Jurka Wojciechowskiego leżał w drugim pokoju ciężko chory na zapalenie płuc jego brat. Na moją propozycję, by lekcje na jakiś czas przerwać, odpowiedział: „To są moje jedyne, krótkie chwile zapomnienia o tym ciężkim zmartwieciu”. Prosił by lekcje kontynuować. Brat Jurka, maturzysta, zmarł po 2 czy 3 tygodniach.

Od jesieni 1940 roku wszyscy uczniowie, chłopcy i dziewczęta od 14 roku życia, byli objęci przymusem pracy i rodzice musieli szukać dla nich zajęcia u Niemców. Podjęcie pracy było koniecznością, gdyż ono tylko broniło przed wywiezieniem na roboty do Niemiec.

Różne były obowiązki, które nasi wychowankowie pełnili. Najmłodsi uczniowie byli gońcami. Dziewczynki pracowały jako pomocnice domowe, jako ekspedientki w sklepach warzywnych, jako sprzątaczkę w aptekach, laborantki u lekarzy dentyistów. Kilka dziewcząt było zatrudnionych przy hodowli jedwabników w Rudzie Pabianickiej. Jedna z u-

czennic pomagała w pracach porządkowych na cmentarzu. Kilka dziewcząt było zatrudnionych jako robotnice w fabryce zbrojeniowej.

Przez stworzenie dla społeczeństwa polskiego niezwykle ciężkich warunków egzystencji, okupant zmierzał do zrealizowania rozkazu Hitlera by Polaków jak najszybciej zamienić w niewolników, a młodzież od wczesnego okresu życia rozpoczynając pracę u Niemców wychować w posłuszeństwie dla „Narodu panów”. Złudne jednak okazały się zamierzenia okupanta. Szykany niemieckie wywoływały reakcję w społeczeństwie polskim, a w młodzieży wywołły taki zasób energii, że nawet w najtrudniejszych warunkach życiowych potrafiła pogodzić przymusową pracę z lekiami na kompletach. Był to okres bardzo intensywnych prac każdego ucznia.

Organizacja zajęć lekcyjnych była dostosowana do warunków pracy naszych uczniów. Ci, którzy pracowali w sklepach, mieli lekcje po ich zamknięciu. Dysponowali najmniejszą ilością czasu i dlatego dodatkowo przychodzili na lekcje w niedzielę przed południem. Dziewczęta zatrudnione jako laborantki, pomoc lekaarska czy sprzątaczkę — wykorzystywały przerwę obiadową. Pracujący w fabrykach, w warsztatach rzemieślniczych, czy transportie przybywali na lekcje o godzinie 16. Pozostała młodzież, to znaczy ta, któ-

rej praca nie była wyznaczona określoną godziną, i część młodzieży zarejestrowana fikcyjnie, rozpoczynała zajęcia już w godzinach rannych. W ten sposób można było wykorzystać na naukę wszystkie godziny dnia aż do wieczora.

Lekcje z konieczności musiały być skondensowane. Ograniczaliśmy się do sprawdzienia przygotowanego materiału, wyjaśnienia trudnych zagadnień i udzielenia wskazówek do pracy nad łatwiejszymi. Na lekcjach historii uczniowie pracowali zawsze z mapą. Młodzież chętnie zaglądała również do tekstów źródłowych, zwłaszcza w odniesieniu do dzieł Polski i stosunków polsko-niemieckich. Zagadnienia kulturalne prowadziły do nie kończących się rozmów o nauce, literaturze i sztuce. Uczniowie oglądali, w skromnym i wprawdzie zakreślone, fotografie i reprodukcje ilustrujące dzieła sztuki. Były to lekcje dające młodzieży odprężenie. Wybiegała ona myślą w przyszłość, gdy nie będzie wojny i arcydzieła te będzie oglądała w muzeach. Tu w zaciszu domowym poznawała największe wartości ducha ludzkiego: piękno, dobro i prawdę, które tak brutalnie, tuż poza oknami, niszczyli najeźdźca hitlerowski.

Młodzież w warunkach okupacyjnych stawiała się wcześniej dojrzała. Krytycznie oceniali okupanta i przeciwstawiali się jego zamierzeniom. Jednym ze środków była nauka. To też uczyła się chętnie, choć niewiele miała dla siebie wolnego czasu. Może właśnie dlatego nauczyła się umiejętnie nim gospodarować.

Warunki bytowe młodzieży były trudne. Sprawa odżywiania stała się poważnym problemem z racji szczupłych przydziałów żywnościowych dla Polaków. Nie wolno było nabywać wielu artykułów spożywczych, wprowadzono nawet ograniczenia w sprzedaży ziemniaków. Młodzież była więc nie dożywiona. Posiadała jednak zapas do pracy. Ten właśnie zapas pomagał jej pokonywać trudności. Poza swoimi obowiązkami i nauką wszyscy wiele czytali. Nie tylko młodzież, ale i ich rodzice.

Gdy barbarzyńca hitlerowski niszczył życie kulturalne Polaków, gdy im zabroniono uczęszczać do teatrów, kin i na koncerty, a nawet do parków, książka w owych czasach zaczęła nabierać szczególnego znaczenia. Stanowiła ona jakąś wewnętrzną potrzebę, powszechnie odczuwaną. W niej szukano pokrzepienia, jak w dawnych latach niewoli. Książka była środkiem przeciwstawienia się polityce okupanta, zmierzającej do degradacji kulturalnej narodu polskiego. W wielu domach, zwłaszcza tych, gdzie matki miały przydzieloną pracę chłupniczą, powrócono do zwyczajów głośnego czytania książek dla całej rodziny. Z książką w ręce polskie rodziny spędzały popołudnia i wieczory. Młodzież czytała wiele; począwszy od powieści dla dziewcząt, książek podróżniczych, powieści historycznych, także monografie i opracowania popularno-naukowe — aż do zakazanych: Wańkowicza „Na tropach Śmętki” i Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy”.

Książki wypożyczano od krewnych, znajomych, nauczycieli. Księgozbiory były wprawdzie ukryte przed okupantem, ale w pewnym stopniu można było z nich korzystać. Z mojej biblioteki zaopatrywałam młodzież w potrzebną jej lekturę historyczną. Książki te wymieniali uczniowie w obrębie każdego kompletu.

RZYMSKA ŁAZIENKA

W wymiarach satyry „Łaźnia” Majakowskiego to z pewnością nie jest, co najwyżej łazienka. Nie szoruje się też w niej i nie pierze biurokratów, tudzież kombinatorów różnej maści, a raczej zrasza delikwentów letnisk przysięg, co to ani nazbyt nie parzy, ani przesadnie nie ziębi. Mimo wszystko obywateli rzecz można, zwłaszcza jeżeli człowiek tak zupełnie nie ma pewno nie ma niczego ciekawszego do roboty.

Stanisław Stratiew, bułgarski dziennikarz i debiutant dramatyczny w jednej osobie (co w zasadzie powinno skłaniać recenzenta do pewnej łagodności) oparł swoją „Łaźnię rzymską” na pomysły ogromnie zbliżonym do „Męczeństwa Piotra Oheya” Mrożka, choć oczywiście nie musi to znaczyć, że znał te sztuki i wprost się z niej zapożyczył. Tak czy owak u Mrożka mamy tygrysa ludojada, który zagnieżdżył się w łazience, u Stratiewa — rzymską łazienkę, czy raczej fragment łaźni, basen kąpielowy zdobiony freskami, odkryty pod podłogą w czasie remontu mieszkania Iwana Antonowa, podobnie jak Piotr Ohey, to tak zwany szary człowiek, zwykły obywatel, zaś rzymska łazienka, podobnie jak tygrys, ściągnięta do jego mieszkania całą gromadą natrętów, ekipy telewizyjnej, pragnącego na gwałt zrobić karierę naukowa, handlarza zabytkami, pośrednika sprzedawcy nieruchomości, ratownika, (no bo gdzie jest basen, tam powinien być ratownik), aktywną organizację rejonową, komisję i paru jeszcze osobników.

Jeżeli jednak Piotr Ohey przyjmuje swój los z męczenną pokorą, buntuje bez wiary w powodzenie i kapituluje przed byle argumentem, to Antonow co trochę wyglądałby na człowieka do własnego mieszkania i odrobiny szczęścia, a nawet wykazuje sporą aktywność, gdzieś tam w czasie bytności poza sceną podrywając do centowy narzeczoną i to zdaje się na zawsze.

Wolelibyśmy wprowadzić, aby to, co ważne, rozgrywało się na

naszych oczach, jednak nie aktywność Antonowa jest wadą sztuki, lecz nieokreśloność tej postaci, która acz wiodąca żadnemu przyporządkowaniu, chyba nie przysporzy. Do Wałbrzycha, gdzie „Łaźnia rzymska” miała bodaj swoją polską prapremierę, ściągnięto na odsiecz samego Łazuka, w Łodzi wybór czy też wyrok padł na Krzysztofa Różyckiego, ale choć i on ma spory kredyt u publiczności, zbyt wiele nie zwojował, bo zwojować po prostu nie mógł.

Rzecz w tym, że Antonow nie mieści się w żadnej konwencji, jest niejako „jacyś”, to patrzy na świat oczyma normalnego człowieka, gwałtownie protestując przeciwko wykopkom w mieszkaniu i wieżącym strażniczej ustawianej nad pustym basenem, to znów pogodnie daje się w tę surrealistyczną zabawę wciągnąć, na prośbę ratownika udaje że tonie, woła o pomoc, pozwala się uratować, a nawet wodę z siebie wytrząsać. Oczywiście można i tak, i tak, Beranger do końca nie chce zostać nosorożcem, zaś Piotr Ohey bohaterem wchodzi do wanny, aby się maharadzą mógł zacząć na tygrysa, nie sposób jednak być Berangerem i Oheyem jednocześnie, zaś Antonow stanowi taką hybrydę i dlatego właśnie nie da się go w sposób rozsądny zagrać.

Błąd dramatopisarza — nie jedynie zresztą, bo i kompozycja nieco się chwieje — zaczynał na całym przedstawieniu, choć trzeba zarazem przyznać, że autor zaproponował sporo zabawnych sytuacji, które Piotr Hertel, reżyser sztuki, potrafił wykorzystać, a niekiedy i interesująco rozwinąć. Udatnie ograń zostało zwłaszcza założenie, że w czasie prac badawczych piekielny docent zdołał wydrzeć pod podłogą cały system podziemnych korytarzy — bohaterowie skakali tedy w nieokreślone głąb, zapadali pod ziemią, to znów niespodziewanie wyłaniali na powierzchnię, szkoda tylko, że nie zawsze z najlepszymi dowcipami na ustach. W rezultacie najweselej wy-

padły sekwencje z udziałem dziarskiego ratownika, zwłaszcza że Ireneusz Kaskiewicz — z gwizdkiem i wzmacniającą głos tubą, a co technika, to jednak technika — stworzył postać nader barwną, grał śmiało, odważnie, o życie swoich ofiar walczył ze szczerym zapalem.

Obronili się także Jan Tesarz jako docent, pracownik naukowy w dziedzinie trakologii (ciekawe, że dowcipy na temat docentów zawoocowały również w Bułgarii, myślałem dotąd, że to polska specjalność), mniej wyraziście wypadł natomiast plan drugi: Krystyna Tesarz (Marta), Kazimierz Iwiński (Cekow), Eugeniusz Wałaszek (Diamandew) i Maciej Małek (Geczew). W epizodach obsady dopieinali: Ludwik Kasendra, Andrzej Herder, Bohdan Wróblewski, Paweł Kruk, Henryk Staszewski, Aleksander Benczak, Alicja Ciehecka, Hanna Koman-Dobrowolska i Zofia Wilczyńska, zaś Barbara Marszałek i Nina Przybyłowska udzieliły głosu kolumnienkom na postoju taksówek.

Celowo przytaczam pełną obsadę, bo mieści aktorów mających za sobą cały szereg udanych komediowych i nie tylko komediowych ról, jeżeli tedy śmiech na widowni nie rozbrzmiewał zbyt gęsto, bardziej zawinił tu chyba materiał, niżli sam teatr. Choć może trzeba było jeszcze śmielej, jeszcze bardziej szampańsko, z girłaskami, nudystkami, albo — dajmy na to — z fontanną? Doprawdy, łatwiej wybrzydząć na poczynania w dziedzinie rozrywki, niż teatrom coś rozsądnego doradzić w tej materii, ale że tak jak jest, nie jest dobrze — to zdaje się być pewne.

JERZY PANASEWICZ

Teatr im. Jaracza, Scena „7.15” — Stanisław Stratiew: „Łaźnia rzymska” — Przekład: Helena Karpńska — Reżyseria: Piotr Hertel — Scenografia: Jerzy Groszang — Kostiumy: Ewa Gralak-Jurczak.



Stanisław Stratiew: Łaźnia rzymska. Na zdjęciu: Iwan Antonow (Krzysztof Różycki) i Georgiew (Ireneusz Kaskiewicz)

Foto: L. Myszkowski

DWA OKUPACYJNE OPOWIADANIA

W PIW-owskiej serii polskiej prozy współczesnej na czerniście pozycji wydawniczych opublikowanych w 1977 roku znalazł się jeden debiut. Stanowi go niewielka objętościowa książka Tadeusza Makarczyńskiego „Cyganie wachmistrza Schultz’a”, złożona z dwu opowiadań. Ich akcja toczy się w okupowanej Polsce na rok przed zakończeniem drugiej wojny światowej.

Autora, choć debiutant, nie trzeba czytelnikom przedstawiać. Tadeusz Makarczyński znany jest bowiem jako reżyser i scenarzysta filmowy, autor słuchowisk i sztuk telewizyjnych. Do najbardziej znanych jego filmów dokumentalnych należą: nakręcona w ro-

ku 1946 „Słota warszawska”, „Mazowsze” oraz „Struna kamienna”.

Tytułowy utwór przypomina impresję filmową zarówno po przymiocie mikrofabule, jak i narrację zbliżającą się niekiedy wyrażenie do filmowego sposobu relacji. Przedstawia zaledwie zorganizowanie transportu grupy Cyganów przez wachmistrza policji Wilhelma Schultz’a, ale jest misternym studium psychologicznym starożytności na tle okrucieństw okupacyjnego życia w małym miasteczku w Generalnej Guberni. Prostymi zabiegami osiąga Makarczyński wiele — skróty, obrazowy sposób opowiadania działa na wyobraźnię czytelnika, zaś nasycenie kon-

kretem nie pozwala na oderwanie się od zaprojektowanej przez autora wizji. Tak jakby Makarczyński obawiał się, że czytelnik — realizator może nieco inaczej odczytać opowiadanie — scenariusz. Dlatego zapewne woli w stosownym miejscu umieścić znaczącą, acz dyskretną pointę.

„Cyganie wachmistrza Schultz’a” to kolejna w naszej literaturze próba odpowiedzi na pytanie: Jacy są, czy raczej jacy byli Niemcy? Propozycja Makarczyńskiego jest wypadkową dwu sposobów widzenia. Kpinę z narodowych niemieckich stereotypów, utrzymaną w tonie satyry Heinego, gdy pisał „Wir sind Germanen, gemüthlich und brav”, oraz przeraża-

jącej sumiennosci i powagi w spełnianiu wszelkich obowiązków i rozkazów. Na przecięciu tych linii — sytuuje się osobowość poczytowego w gruncie rzeczy Schultz’a, starego już i trochę zagubionego, lecz w sposób „linientreu” pełniącego służbę. Niekiedy przypomina on nawet dzielnego wojaka Szwajkara, ale w gruncie rzeczy daleko mu do dobrodusznego c.k. piwowara. Jest bowiem strachliwym i głupawym drobnomieszczańcem, który najchętniej wierzy w to, co „typowe”. W konsekwencji typowa okazuje się również jego rejterada przy przekonaniu narodowosocjalistycznych na zdroworozsądkowe. A nawet wiara w cygańskie wróżby o przyszłym szczęściu, brzmienie — trzeba przyznać — dość paradoksalnie w obliczu zbliżającego się frontu. Ale właśnie osobom typowym, przeciętnym w momentach niepewności wiara bardzo jest potrzebna. Dlatego przysłuchując się starej Cygance Schultz, ku swemu zdumieniu odczuł, że słowa tak są mu potrzebne, że potrzebna jest wiara, iż jest jakieś wyjście i to dobre z tego dziwnego, niezrozumiałego świata. Był zły na siebie, że tego słucha i nazywał się w

myśli idiotą, a jednak słuchał. W gorączkowym szepcie wariatki, obiecującej mu złote góry, znajdował jakąś dziwną, zupełnie niewytłumaczalną ulgę.”

O ile więc nasycona realiami proza Makarczyńskiego w przypadku opowiadania tytułowego nabiera cech pewnej ogólnej refleksji nad sytuacją człowieka w wielorako nieprzychylnym mu świecie, o tyle opowiadanie „Wyrok” utrzymane jest w konwencji sensacyjnej. Sensacja i przygoda towarzyszą niemalże bez przerwy patriotycznej akcji konspiracyjnej w wykonaniu kolejnego „Kolumba” — Marka Żarnieckiego. Spoza sensacji jednak co rusz wyzierają sprawy znane z niejednej książki o okupacyjnej problematyce. A więc przede wszystkim kwestia „haraczowego dnia”, jak to określił niedługo w swojej powieści Janusz Krasieński, kwestia podziemnej walki zbrojnej — jej sensu i ceny, jaką płać się po przez eskalację odwetu. Konspiracja jako modus vivendi jednej generacji Polaków jest ciągle aktualnym tematem literacko-filmowym. Myślę, że niedawnym widzom „Polskich

drog” nie trzeba o tym dodatkowo przypominać.

Konspiracyjna przygoda porucznika Żarnieckiego to tylko otoczka komplikacji natury moralno-filozoficznej. Jego partnerami są w tej dziedzinie świeży absolwent fakultetu filozoficznego oraz młody adept teologii. Ale obaj w niewielkim tylko stopniu okazują się pomoc skołataną psychice Marka. Ostateczny wybór okazuje się zależny od niego. Czy rzeczywiście?

Wojna i okupacja zajmują poważne miejsce w naszym piśmiennictwie. Na tym tle książka Tadeusza Makarczyńskiego nie jest z pewnością rewelacją, ale napisana z dużą kulturą świadczy o literackich możliwościach znanego dokumentalisty.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

T. Makarczyński, Cyganie wachmistrza Schultz’a, PIW, Warszawa 1977, nakład 10 000 + 290 egz., cena zł 15. —

TEORIA REGENERACJI

Gdyby nie osoba bułgarskiego dyrygenta prowadzącego koncerty poświęcone Gershwinowi i Wagnerowi, nie dałoby się właściwie niczym usprawiedliwić umieszczenia nazwisk obu kompozytorów obok siebie w jednym artykule. Nawet samo pojęcie nowatorstwa jednego i drugiego nie daje wspólnego mianownika — łączą je, gdyż i Gershwin i Wagner interpretowani byli przez jednego Władysława. Najpierw o Amerykaninie, którego twórczość reprezentuje w jazzie jego czasami nurt piosenki poszerzony o środki orkiestry europejskiej.

W programie koncertu znalazła się uwertura kubańska, pieśń i preludium transkrybowane z fortepianu na orkiestrę przez prowadzącego koncert

wariacje na temat piosenki „I Got Rhythm” bardzo rzadko wykonywane ze zreczną partią fortepianową i najmniej potrzebną orkiestrą — Peterson radzi sobie z tym we trzy osoby oraz po przerwie Błektina Rapsodia i Amerykanin w Paryżu. Dla miłośników tej muzyki była to dobra okazja do „regenerowania” nastroju przed zabawą sylwestrową, dla orkiestry rodzaj oczyszczający(?) artykulacyjny, gdyż nie da się z samych nut tej muzyki wygrać bez zachowania jazzowego frazowania. Dała się wyćwiczyć początkowo pewna nieśmiałość a nawet zażenowanie, jakby nie było wiadomo, co z tym robić. Nie to. Zespoły amerykańskie grają każdy program i nie tylko gershwinows-

ki bezkonkurencyjnie. Najbliższe charakterowi tej muzyki były instrumenty blaszane, najdalej zaś... perkusja: marmarasy w uverturze kubańskiej według przedstawionych popieszczeń propozycji należałoby — gdyby można — z partytury wykreślić, ale utwór techniczny hiszpańskimi i południowo-amerykańskimi rytmemi bez narodowych brząkałek...

W wariacjach oraz Błektin Rapsodii jako solista wystąpił Andrzej Ratusiński podziwiany za umiejętność koncentrowania uwagi na sobie oraz fascynowanie łatwością i swobodą. Z kreacji innych artystów wybiła się jako najbardziej narodowe nagranie Bernstein’a pozabawione całkowicie rachmaninow-

skich wyciągnięć i zaokrąglenia fraz.

Prawie za zjawisko socjologiczne poczytać należałoby przybycie obcej w widzenia i w takiej masie publiczności na ten koncert. Czy można wybrać się do Filharmonii dla przyjemności posłuchania lekkiej, żyjącej swobodą i nie znoszącej definicji muzyki? Oczywiście, że tak. Wypadałoby tylko w wypadkach mniej uciążliwych i lekkostrawnych robić wcześniej większą reklamę choćby i... Wagnerowi, skoro tego giganta od Pierścienia Nibelunga skromna raczej publiczność przyszła słuchać. Może zaważyło przekonanie, że jeśli się czuje i dyryguje Gershwinem, to tego samego z Wagnerem zrobić już nie można lub odwrotnie?

Wytrzymać Wagnera dłużej niż pół koncertu można tylko w świetnym teatrze operowym. Ta muzyka będzie się zawsze ściśle kojarzyła ze sceną — bez teatralnej szaty jest jakby bez celu. To nie gershwinowskie

zgrabnie skrojone na orkiestrę temaki, które bawia nas jeden wieczór, tu oprócz wielkiej muzyki znajdziemy ideę przeciwną tej, która przez manifestacyjną skromność i uszlachetnienie cierpienia rozwalila cesarstwo rzymskie od środka. To jest muzyka w zamysle budująca. Nie dość, że nasza słowiańska odrębność jest sporej wrażliwości, to jeszcze działalnością narodowych piekudochów doprowadzona została do progu bólu psychicznego.

W tej muzyce jest coś innego, coś, czego prawie że nie umiemy. Wagnerowska teoria regeneracji z pewną modernizującą przeróbką może jeszcze zaciekawić nie tylko samego słuchacza.

Trudno grać Wagnera, jeśli jego muzyka jest obok naszych charakterów i ciągłówek z narodowymi włącznie i zainteresowania. W programie znalazły się: zle wybrana na początek uwertura do Parsifala, przereklamowany z III aktu na koncertowy użytek „Cwał Walki-

rii” z op. Walkiria zagrany z dużą emocją, przesławna uwertura do Tristan’a i Izoldy z „Isoldens Liebestod”, uwertura do Tannhausera z mniej więcej pośrednio wpiecionymi barchanami z I aktu i... duszącymi się smyczkami. W uzupełnieniu, a właściwie dla ożywienia Sen Elzy z Lohengrina oraz arle Elżbiety z Tannhausera zaprezentowała z mistrzostwem wspaniałym operowym głosem i bez cienia trudności technicznej Hanna Rumowska.

Wagner Władysław wydał się trochę nudnawym, doprowadzony jakby bardziej ciężką ręką niż batutą Molm zdaniem więcej wycucia wykazał on w utworach Gershwina. Do orkiestry tylko małe pytanie: czy gdyby dano się orzeszadzić koncertmistrzowi do ostatniego pulpit, to czy tremola u Wagnera byłyby ciekawsze?

PIOTR PIETRZAK

PRZYPADEK KATARZYNY BLUM

Pełny tytuł powieści Heinricha Bölla brzmi: „Utracona część Katarzyny Blum albo: Jak powstaje przemoc i do czego może doprowadzić”. Powieść ta była odpowiedzią laureata Nobla na oszczerczą kampanię springerowskiej prasy na niego samego i jego rodzinę, podjętą w związku ze stanowiskiem, jakie zajął Böll na przełomie lat 1971/72 wobec działalności „Bild-Zeitung”, głównego organu koncernu Springera. Wówczas to sensacyjny dziennik „Bild” ogłosił artykuł pt. „Banda Baader-Meinhof morduje nadal”, przypisując tej anarchistycznej grupie udział w napadzie na bank w Keiserslautern i zabójstwo policjanta — co miało się z prawdą. Böll, któremu trudno przypisać proterrorystyczne sympatie, wystąpił na łamach „Spiegla” z protestem przeciwko tego typu działalności prasy, która feruje wyroki bez sądu, tworzy określone napięcia i nastroje, wywiera szkodliwy wpływ na opinię publiczną (nakład „Bild-Zeitung” to 4 i pół miliona egzemplarzy!) — a czyni to w imię sensacji, zysku i chęci sterowania opinią społeczną, chęci, za którą kryją się określone siły polityczne. Jak wiadomo, na przykład działalność grupy Baader-Meinhof usiłowana w kampanii springerowskiej łączyć z atakiem na lewicę społeczną. Wówczas to właśnie Heinrich Böll domagał się ogłoszenia „stanu wyjątkowego świadomości publicznej”.

Pisarz, w którego twórczości, traktowanej jako sztuka powojennej, dominują takie tematy, jak: analiza zniszczenia niemieckiej i wojny, ich siadów w psychice współczesnego człowieka, jak analiza łacina ugrunтовujących się w powojennej rzeczywistości postawy, jak egoizm, nietolerancja, czy konformizm, tym razem, o czym mówiu tytuł jego książki, zajął się anatomią przemocy.

Przemoc ta manifestować się może i manifestuje w akcie terrorku, w jej inne warianty zastraszają doświadczenia, historie siłujące, Katarzyny Blum, która padła ofiarą przemocy psychicznej, realizowanej głównie za pomocą prasowej propagandy, swą książką opiera się na faktach historycznych i literackich, a nie na fikcji umysłowej opowiadania o „całkowicie zniszczonych” jednostkach przedstawił w nim praktyki zbrodni, które przypominają praktyki gazety „Bild”, nie jest to ani zamierzony, ani przypadek, lecz nieuniknione.

Ten zapis kończy też nakręcony w 1975 roku film Volker Schlöndorff, najwybitniejszego dziś przedstawiciela zachodniemieckiego kinematografu. Schlöndorff nie ugiął się przed potęgą Springera. Realizacja filmu, rycząca po kolejnej przeciw Bollowi wyrażonej nagonce, była aktem solidarności, skazanym, jak się wydawało, na złą ocenę prasy i dystrybutorów. Powodzenie filmu przesłodziło jednak wszelkie oczekiwania, co podtrzymały sukcesy i smutne losy wszystkich ambitniejszych filmów w RFN. „Utracona część Katarzyny Blum” w filmowej swej wersji zdobyła sowe, szersze kręgi odbiorców oceniających przedstawione w niej wydarzenia.

I choć obiektywnie rzecz traktując, Schlöndorff, nadając swemu filmowi formę widowiska sensacyjno-kryminalnego, zniwelował niuans literackiego kunsztu opowiadania Bölla, w sensie idei pozostał wierny pierwowzorowi. Rozbit w układach narracyjnych, pełen dygresji, ironiczny, pozbawiony patosu tok opowiadania Bölla wymaga niewątpliwie głębszego czytelniczego przygotowania. Zwarta, zwięzła, sensacyjna opowieść Schlöndorffa, upraszczając a nawet niwecząc walory literackie prozy laurata Nobla, przysporzyła jednak ideowo-moralnemu jej przesłaniu na pewno większą ilość zwolenników. Ta funkcja adaptacji Schlöndorffa rozgrywa pewnie jej siłę. Blerne lekturowo-kinowe uczestnictwo w okrutnym „polowaniu na czarownic” wyzwoliło musi postawę aktywnie oceniaczą.

Historia Katarzyny Blum, oskarżonej bez sądu o współdziałanie z anarchista, ujawnia związki pomiędzy instytucją reprezentującą państwo — czyli policją a prywatnym w systemie społeczeństwa zachodniemieckiego aparatem kształtowania opinii publicznej — prasą, związki, u których podłoża leżą interesy dalekie dobru publicznemu tegoż społeczeństwa. Dzieje zaszczepionej Katarzyny są przykładem całkowitej bezradności postaci schwytej w tryby tej podwójnej maszyny, przykładem tragicznym w dyskusji o prawach człowieka. Tem tych wydarzeń, zarówno w opowiadaniu jak i w filmie, jest także zbiorowy portret społeczeństwa niemieckiego — nie szczerzą mu obaj autorzy rysów konformizmu, nietolerancji i hipokryzji. W tym układzie ostatni czyn Katarzyny Blum jest aktem opuszczenia i rozpaczy.

Dopowiedzieć tu, jak sądzić, należy, że opowiadaniu Bölla i filmowi Schlöndorffa wydarzenia 1977 roku w RFN dramatycznie przypisywały nowe znaczenia. Prowokują też nowe przemyslenia. Ich opinie nie pozostała w sprzeczności z tym, co pod publiczną dyskusję poddały takie fakty, jak zabójstwo Schleiera, porwanie samolotu „Lufthansy” i wydarzenia w więzieniu Kolo Stutgartu. Choć sukces na lotnisku w Moerdisu przylety został z powszechną aprobatą, anarchistycznych aktów gwałtu i przemocy nie zwalcza metody działań i polityki przedstawione w „Utraconej części Katarzyny Blum”. Radość z tego sukcesu zmagająca została bowiem śmiercią Schleiera, ale także śmiercią w więzieniu. Są one już nie literackim i filmowym li tylko tragicznym ostrzeżeniem i pytaniem, które istnieje do dziś — w ciszy, która nie jest ciszą.

EWA NURCZYŃSKA

Pan Karol obudził się „jak zwykle” pierwszy. Posiedział chwilę na łóżku, przeciągnął się i „jak zwykle” zaczął dzień od wędrowki do okna. Spojrzał raz, spojrzal drugi i oczom własnym nie wierzył... Zobacz no pan, panie Janku, zwrócił się do jednego z współlokatorów w pokoju. („Nowy” też już nie spał. Tego pan Karol był pewien, choć tamten leżał odwrócony do ściany).

— Cóż pan znowu zobaczył? Śnieg spadł w maju, czy co? — Pan Janek niechętnie, człapiąc przydeptanymi kapłami zbliżył się do otwartego okna. I... zamknął. Na podwórku pod wiatą stały rzędem czarne elegancie trumny. Ze trzydzieści.

— Czekają na nas — mruknął. Zostało trochę pieniędzy, z tych na rozrywki kulturalne, to i zapas zrobili. Nie ma co, teraz przynajmniej kłopotu nie będzie... Ten nowy — wskazał ruchem głowy na łóżko pod ścianą — już się szykuje. Mężczyzna, ani drgnął. Jakby nie słyszał. Milczący i apatyczny, od chwili, gdy przekroczył próg domu Państwowego Domu Pomocy Społecznej w...

Nieważne gdzie. Ale historia jest autentyczna. Tak jak ta o dziadku z Podębka, co mieszkał w snopku przykrytym folią, a jak przyjechali z opieki, żeby go zabrać, to uciekał przez pole do lasu i długo go znaleźć nie mogli.

GWÓDZ DO TRUMNY?

Starzy boją się tych domów. Nie dlatego, żeby wieści glosiły, że tak tam źle, że jedzenie niedobre, że nie dość czysto, czy ciepło. Skąd! Tym że wsi, to nawet na początku przywyknąć trudno. Trzeba ich przypilnować, żeby się umyli, zjedli swoją porcję. Zrazu ożywień, po kilku dniach popadają w apatie. Niektórzy przyzwyczajają się z czasem, niektórzy — umierają. Szybciej niż gdyby ich zostawił w rodzinnym domu — skąd wygnała ich przewlekła choroba, albo dzieci.

— Miła moja, niech mi pani pomoże — prosiła mnie drobna starszeczka z Łowicza, która paraliż zamknął w jednym z domów w Sieradzkim. — Niech mnie pani stąd zabierze. Ja mam dom w Łowiczu, mam syna, synową, nie będę sama. A tu jest piekło. Stare wiecznie kłóć się kobiety. Piekło! Ach jakie straszne... Mamą piękny park, prawda, ale jak ja wyjdę? Z tą laską? Przecież mnie przez pokój przejsz trudno...

Syna i synową ma — to prawda. Nie odwiedzają jej, bo i po co? A listy z prośbą o pieniądze (z nie najwyższej renty), ślą, a jakże.

Niektórzy umierają szybciej niż gdyby ich zostawił w rodzinnym domu... Na ich miejsce czeka zresztą kilkadziesiąt osób. Co najmniej 50, jeśli nie więcej. Jest tak nie tylko w województwach śródka Polski. Liczby mogą być mniejsze lub większe, zależnie od regionu, od jego zasobności w domy pomocy społecznej, domy dla somatycznie chorych, dla upośledzonych umysłowo, dla rencistów wreszcie. Z nimi problem największy. Trudno byłoby — i nie o to idzie — wszystkim umieszczać w takich placówkach.

Specjaliści twierdzą, że nie należy wyrwać starszych ludzi z ich środowiska. Przenieśmi do Domu Pomocy, gdzie racjonalnie rozumując, powinno być im lepiej, chorują, tracą aktywność życiową, stają się apatyczni, często wrogo lub podejrzliwie patrzą na lekarzy, pielęgniarzy, na swych współtowarzyszy.

SEGREGATOR DLA SPRAW GAŹDZINY

— Ja mam u siebie w urzędzie gminy — skarżył się naczelnik — segregator na sprawy rolnictwa, na sprawy budownictwa, oświaty i jeszcze kilka innych. I... mam segregator poświęcony Gaździnie. Czego by dla niej nie zrobić, i tak jej nie zadowolisz. Skargi pisze. Tak! Do Wydziału Zdrowia, do wojewody, do KW, nawet do KC. A jest analfabeta. Stara, ale sił jej jeszcze nie brak. Więc wynajmuje się do pracy w polu, czy przy gospodarstwie. W zamian ludzie piszą jej te skargi.

Nie była zadowolona ze swego mieszkania (kolejnego już notabene), więc naczelnik pomny kłopotów i tłumaczeń, jakie jej listy za sobą ciągały, obwoził ją własną „Syreną” po całej gminie. Niechby sobie coś stosownego wybrała. Bez rezultatu.

Nic jej się „na razie” nie spodobało. A w kilka dni potem poprosiła na poczeko o połączenie z gminą. I głośno, dosadnie wyraziła, co sądzi o naczelniku, a także o jego rodzicielce. Telefonistka i przypadkowi słuchacze mieli nie lada zabawę, a wieść nie tylko po gminie poszła...

Gaździna choć jest jeszcze żywotną kobietą, była samotną, opuszczoną. Jej skargi musiały mieć jakieś, choćby niewielkie, podstawy. Takich, jak ona — starych potrzebujących pomocy nie tylko pieniężnej (bo renty coraz wyższe), ale pomocy w formie ugotowania posiłku, sprzątania, prania, malowania, kupna odzieży, pomocy pielęgniarzkiej, stałych wizyt lekarza — jest wielu. Społeczeństwo

Postanowiła, ukończywszy Różdżkę Medyczne Studium Zawodowe, Wydział Pracowników Socjalnych — spróbować pracy na wsi. Siostra mówiła:

— Dziewczyno, co robisz, zastanów się! Możesz mieć spokojną pracę w przemyśle, nieźle płatną. Będiesz, wczasy ludziom załatwiać, nie pracujesz się. A tu co? 2400 zł, bez dodatków. Przez ile lat tak można? A jak przyjdzie na świat dziecko?

Na roku Elżbiety było 80 osób. Trzy czwarte z nich wykruszyło się podczas studiów. Po kilku wizytach w Domu Pomocy Społecznej mieli dość. — To nie dla mnie — mówili. Reszta (większość) poszła właśnie na

winną ich mieć każda gmina, w całym kraju. Praca terenowych opiekunów społecznych nie rozwiązuje po prostu problemu. W większości gmin dotychczas sprawami opieki społecznej — obok kultury, sportu, woj-skowości i kilku innych jeszcze — zajmują się, najniżej uposażeni zresztą, referenci z urzędu gminy. Nie znają dobrze przepisów, nie wiedzą, co mogą dać ludziom. Nie ma nawet wykazu osób potrzebujących pomocy. U nas przed dwoma laty referentka za całą potrzebę gminy pod tym względem uznała — 20 kg węgla... W ubiegłym roku otrzymaliśmy na pomoc 570 tys. zł. I jeszcze dostaliśmy 60 tys. zł dofinansowania. Referentowi z gminy trudno się dziwić. Bo co może zrobić w tych sprawach, jeśli poświęca na nie jedną siódma swego etatu. Jedna osoba z odpowiednim przygotowaniem, tylko o do tych spraw — to jedyne rozwiązanie.

CZYJE DZIECKO?

18 października. Matki od 5 dni nie ma w domu. Poszła sobie. Ojciec (68 lat) — przedostatniego z pięciorga dzieci (każde ma inne nazwisko) — wyniósł się do stodoły, „bo mu robactwo spać nie dawało”. Dwunastoletni chłopiec (powiedzmy Adaś) był w szkole. W domu została dwójka — Tomek (półtora roku) i Beata (trzy lata). Gdzie byli Marek i Ania (7—8 lat) — nie wiadomo.

— Brud nie do opisania, łóżko — jeden obrzydliwy barłóg. Nie, słów wprost brak. — Dziś jeszcze, choć już upłynęło sporo czasu, pan psycholog z belchatowskiego ośrodka opieki społecznej denerwuje się, opowiadając tam „wizyte”. Matkę tej piątki zastano w pracy. Nie przejawiała zainteresowania sprawą. Dzieci — prócz najmłodszego, powinno wychowywać państwo, nie ona. Zarabia dobrze, owszem. Mąż też ma niezłą rentę.

Przez kilka następnych dni nic się nie zmieniło. Trzeba było zabrać dzieciaki. Ale bez sprawy sądowej, bez całej oficjalnej dokumentacji nie właściwie nie można było zrobić. Nadszedł grudzień, kiedy po najróżniejszych (nieoficjalnych) staraniach przyszła decyzja z prokuratury, że najmłodsze dziecko można odebrać. Było bliskie śmierci głodowej... Reszta dzieci (tylko 3-letni „podlega” wydziałowi zdrowia, dwójka starszych w „gestii” wydziału oświaty), które 24 października miały być zabrane z domu, który nim nie był, pozostają tam nadal.

— Praca niby wdzięczna — opowiada psycholog — ale... Paradoksalne przepisy, albo zupełny ich brak z jednej strony, a opuszczone dzieci i starzy ludzie oczekujący pomocy, „odpoczynku po biegu” — z drugiej. Praca, jak każda inna, określone obowiązki, niewysoka pensja... Zobojetnienie? Nie zobojetnienie mi nie grozi. Tylko, gdy się w tym zacznie pracować, poznaje się te granice. Granicę warunków (materiałnych i psychicznych), poniżej których zdawałoby się, dzisiaj, nie można już żyć...

Nie zostawia się takich spraw. Szuka się oparcia w sądach, występuje pod „plaszczykiem” różnych organizacji społecznych. Z braku odpowiednich uprawnień i tylko czasem, w ferworze zajęć, wizyt, wywiadów, przemyka pytanie: co to jest? — formalna opieka, czy prawdziwa pomoc?

JAKIE WYJŚCIE?

Podsumujmy — czy prawdziwą pomoc zapewnić można tylko budując kilkadziesiąt nowych placówek? — Na pewno nie. Powinny one być tylko koniecznym marginesem, oazą dla tych, którym z racji choroby w inny sposób pomóc się nie da. Trzeba starać się zostawić starych ludzi w rodzinnym gnieździe, gdzie czują się pewnie, gdzie są po prostu u siebie.

Pomoc bez wyrzucania ludzi z własnego środowiska... Ale, jak ona dziś jeszcze wygląda? Elżbieta z Szadku, psycholog z belchatowskiego ośrodka, iakoś sobie radzą. Lecz nie ma odpowiednich przepisów, nie ma przygotowanych do tej pracy ludzi, brak etatów dla gminnych pracowników socjalnych. — Wszystko to przeszkody istotne. Czy jednak naprawę nie da się ich usunąć?

Ludzie potrzebujący pomocy, to nie tylko emeryci, to opuszczone dzieci, całe rodziny wreszcie. Problem można rozwiązać inaczej — bez budowania nowych placówek. Myślę o tzw. domach dziennego pobytu, koniecznych zwłaszcza na wsi. Gdzie je lokalizować? — A opuszczone w związku z reorganizacją wiejskich szkół? Nierazko są to zupełnie nowe tysiąclatki. A świecące pustką XIX-wieczne dworki, z których wyprowadzili się koła gospodyń wiejskich, kluby rolnika? Sama kilka takich widziałam. Nie pozostawiać je własnemu losowi. Remontować i przekazywać wydziałom zdrowia i pomocy społecznej. Rozwiązanie musi być spore. Są przecież powołane do tego instytucje w województwach, gminach. Brak kadry? Istotnie. Ale nie tylko...

AGNIESZKA OSTAPOWICZ

ODPOCZAĆ PO BIEGU



Foto: Archiwum

nasze się starzeje, a kwestia usług świadczonych starszym ludziom, bez „wyrzucania ich ze środowiska” nie jest rozwiązana. Pół biedy z mieszkańcami miast, zwłaszcza dużych. Ci umieją upominać się o swe prawa, wiedzą, lub dowiadują się od znajomych, gdzie trzeba pójść, kogo poprosić. W dużych ośrodkach jest więcej domów rencistów; nie brak (choćbyż był ich nie za wiele) domów dziennego pobytu.

A na wsi? Na wsi, nie najweselej. Pomińmy już sprawę rodzinnych tragedii związanych z kwestią przekazywania ziemi, dożywocia, zatańców, których bez sądu nie można rozwiązać. Dlatego trudno nie docenić ustawy o emeryturach dla rolników. Ale jak przebiega samo poznanie potrzeb ludzi starych, lecz na tyle sprawnych, że można pozostawić ich we własnym domu?

DECYZJA ELŻBIETY

Elżbieta ma 21 lat. Zaczęła swą pierwszą pracę przed kilkoma miesiącami. Tu, w rodzinnym Szadku,

etaty pracowników socjalnych do przemysłu. Elżbieta wybrała inaczej. I tak oto siedzimy w małym pokoiku (dwa metry na trzy) w gminnym Ośrodku Zdrowia. Umywalka, biurko, półka, trzy krzesła. Wieje od okna i drzwi.

Elżbieta spokojnie opowiada:

— Poznanie potrzeb — pyta pani. Oczywiście, że mamy terenowych opiekunów społecznych. W każdym województwie jest ich przeciętnie tysiąc. Broń Boże nie chcę umniejszać roli, jaką spełniają. Są przecież najczęściej pierwszymi informatorami o dziejach się krzywdzie, o tym że ktoś potrzebuje pomocy. Są to ludzie niemłodzi już, emeryci, sami nieraz potrzebujący pomocy. Albo starzy rolnicy, którzy nie bardzo nawet umieją pisać. Można więc przeprowadzać szkolenia, pouczać ich jak wypełniać kwestionariusze, jak zbierać wywiad społeczny — wszystko to rzeczy podstawowe. I co? Robią te same błędy. Właściwie i tak wszystko trzeba potem samemu sprawdzić.

Takich, jak ja pracowników socjalnych oddelgowanych do pracy w gminnym Ośrodku Zdrowia jest u nas w województwie kilku. A po-

U PRZYJACIOŁ SPRAWY KINA

Wytwórnia „Mosfilmu”, w której pracuje przeszło 2 tys. osób, produkuje rocznie 40 filmów fabularnych. Obecnie trwają tu zajęcia do kółka dzieł ukazujących ważne etapy historii Kraju Rad. Np. reżyser A. Sacharow pracuje nad filmem „Smak chleba” — o zagospodarowaniu dzieł w Kazachstanie. Reż. D. Chrabrowicki ma na warsztacie utwór poświęcony powstawaniu radzieckiego przemysłu lotniczego, życia i działalności konstruktora A. Tupolewa. Tematykę moralno-obyczajową w filmie „Dziwna kobieta” (z Iriną Kupczenko w roli głównej) podejmuje reżyser starszego pokolenia, J. Rajzman. Reż. E. Riazanow ukończył niedawno komedię „Romans służbowy”.

W „Mosfilmie” realizują filmy również reżyserzy z innych republik związkowych. M.in. V. Żalakiawicius z Litwy pracuje nad filmem poświęconym tragicznym wydarzeniom w Chile. Szeroką pożytkę powstaje w kooperacji z kinematografiami zagranicznymi — krajów socjalistycznych i kapitalistycznych. Ważne miejsce w profilu tematycznym zajmują ekranizacje klasyki literackiej — rosyjskiej i światowej. Np. I. Tatiankin realizuje „Ojca Sergiusza” wg opowiadań L. Tolstoj z Sergiuszem Bondarcukiem w roli głównej. Powstają również filmy widowiskowe i tzw. superprodukcja, ciesząca się zawsze dużym powodzeniem wśród milionów widzów.

W Kraju Rad urodziny obchodziło 80 rocznicę urodzin Sergiusza Eisensteina (1898—1948). Z tej okazji zorganizowano m.in. w Rydze międzynarodowe sympozjum filmowców, a w Moskwie retrospektywę przegląd filmów Eisensteina. W ZSRR od dawna prowadzone są badania spuścizny twórcy mistrza światowego kina. Teoretyk filmu, prof. Rostisław Jurgeniew poświęcił mu opublikowaną niedawno dwutomową monografię.

Reżyser Grigorij Aleksandrow rekonstruuje w wytwórni „Mosfilmu” dzieło Eisensteina „Niech żyje Styrak”, o którym sędzono, że jest stracone na zawsze. Otóż na początku lat trzydziestych Eisenstein, wspólnie z Aleksandrowem i operatorem Tisse, na zlecenie firmy „Paramount” rozpoczęli realizację filmu, którego celem było ukazanie walki ludu meksykańskiego o wolność i niezawisłość. Filmu tego jednak (po nakręceniu 70 tys. m taśmy) nie ukończono, ze względu na rozróżnienia różnic poglądów twórców i producenta. Dopiero obecnie materiały filmu „Niech żyje Meksyk” przekazane zostały z USA kinematografii radzieckiej.

Przed 30 laty na ekrany kin radzieckich wszedł film reżysera Sergiusza Gierasimowa „Młoda Gwardia”, wg powieści Aleksandra Fiediejewa. Film szybko zdobył ogromną popularność, także za granicami kraju, zaliczany już jest do klasyki filmowej, często wznowiany. Jak powstała filmowa wersja „Młodej Gwardii” wspomina jego twórca na łamach „Sowieckiej Kultury”:

— Przystąpiliśmy do zdjęć — pisze Gierasimow — zanim Fiediejew ukończył swoją powieść. Zaczęliśmy od wystawienia spektaklu na scenie teatru studium przy Instytucie Kinematografii. Zasadnicze znaczenie dla przyszłego kształtu obrazu filmowego miały również fakt, że młodzi aktorzy spędzili pewien czas w Krasnodarze, wśród rodzin swych rówieśników — poległych bohaterów. Stworzyło im to możliwość swego rodzaju utożsamienia się z postaciami młodych arcyznawców walki podziemnej. Wśród wykonawców znaleźli się młodzi aktorzy, których nazwiska znane są doskonale dzisiejszej publiczności: Bondarczuk, Morduchow, Tichonow, Jegorow, Karasik, Fuczek, Makarowa... Starzeją się ludzie, starzeją się niektóre filmy — stwierdza reżyser — ale „Młoda Gwardia” pozostanie zawsze młoda.

Twórczość Turgieniewa od dawna inspirowała filmowców. Już ponad 40 jego utworów przeniesiono na ekran. Ostatnio do „turgieniewowskiego” cyklu dołączył reżyser Konstantin Wojnow filmem „Rudn”. Ekranizacja jednej z najbardziej znanych powieści Turgieniewa. Tytułową rolę w filmie odgrywa Oleg Jefremow. „Bohater Turgieniewa — stwierdza recenzent filmu — nie stracił nic ze złożoności swej psychiki, zaś aktor potraktował osobistym dramatem Rudn jako dramat idei. Klimat powieści w sposób szczególnie pełny oddaje zdjęcia filmu”.

W środku stycznia tego roku odbyła się w Tokio nowa runda rozmów amerykańsko-japońskich w sprawie handlu. Strony nie doszły do porozumienia. Amerykanie zarzucają Japończykom, że nie wykonują zobowiązań, które przyjęli na siebie na konferencji „na szczycie”, odbytej w Londynie w maju 1977 roku. Aktywne saldo bilansu handlowego Japonii, które nie powinno przewyższać 8 miliardów dolarów, przekroczyło ten limit aż dwukrotnie. Po zakończeniu rozmów Amerykanie wyrazili swoje niezadowolenie. Japończycy również. Ton tych rozmów jest coraz ostrzejszy.

Zagraniczni obserwatorzy mówią już od pewnego czasu o otwartej wojnie handlowej między Stanami Zjednoczonymi a Japonią, co świadczy o dalszym zaostrzeniu sprzeczności w świecie kapitalistycznym. W warunkach przeciągającego się kryzysu rządy największych państw kapitalistycznych: Stanów Zjednoczonych, krajów zachodniej Europy i Japonii, ignorując podpisane umowy i porozumienia, za wszelką cenę próbują osiągnąć jednostronne korzyści. Partnerzy — współzawodnicy toczą bezpardonową walkę o rynki zbytu, wnosząc wysokie bariery taryfowe, wprowadzając ograniczenia na import, a niekiedy też wywierając polityczną presję.

Japońskie monopole, przy wydatnym poparciu rządu, rozwinęły szeroką ofensywę nie tylko na międzynarodowe rynki, tradycyjnie kontrolowane przez amerykańskie i zachodnioeuropejskie koncerny, lecz także zwiększyły na nich zbyt swoich towarów, częstokroć po cenach dumpingowych. Oczywiście ta japońska ekspansja ekonomiczna wzbudza niepokój i irytację zarówno w stolicy USA, jak i w stolicach krajów Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. W Tokio, gdzie prasa pisze o „wojnie ekonomicznej”, amerykańskie oświadczenia i pretensje przyjmują się negatywnie. Japończycy są oburzeni, ponieważ uważają, że zrobili już i tak wiele ustępstw na rzecz Waszyngtonu w sprawie jena, który z dniem 28 października został rewaloryzowany prawie o 10 procent w stosunku do dolara. Rządzące koła krajów zachodniej Europy, Ameryki Północnej, jak również kraje Trzeciego Świata, od czasu do czasu wskazują gromy na Japonię, że wartość jej rocznego eksportu ogromnie przewyższa import. Istotnie, w obecnym roku budżetowym, kończącym się 31 marca 1978 roku, aktywne saldo w zagranicznym obrocie handlowym Japonii wynosiło około 15 miliardów dolarów, inaczej mówiąc — jej eksportowa nadwyżka we wskazanym liczbowym będzie rekordowa.

Japończycy, próbując zmniejszyć niezadowolenie, jakie wzbudza ich aktywna polityka eksportowa, twierdzą, że gdyby nie wzrost eksportu, kraj przeżywałby już od dawna głęboką ekonomiczną depresję. Jednakże Stany Zjednoczone są zdecydowane, nawet za cenę zaciętej walki, jak zresztą podkreślają to zachodnioeuropejscy komentatorzy, zdobyć ustępstwa, które, oczywiście, odzwierciedlałyby amerykańskim interesom. Kraje zachodnioeuropejskie w sporze handlowym z Japonią są właściwie bezsilne. EWG z beznadziejnością śledzi japońsko-amerykańską kłótnię, zdając sobie sprawę, że tylko Stany

Zjednoczone mogą wyważyć coś, czego EWG domaga się od Tokio już od wielu miesięcy. Niektórzy zachodni finansjści obawiają się, że podwyższenie kursu jena może stać się de-tonatorem kryzysu walutowego w świecie zachodnim.

Koła przemysłowe na Zachodzie obawiają się jeszcze jednej niespodzianki ze strony Japonii, mianowicie, że rząd japoński pójdzie na ryzyko wywołania kroków protekcyjnych w krajach zachodniej Europy i Ameryce Północnej, wiedząc z góry, iż większość tych krajów prawdopodobnie nie podejmie żadnych poważnych kroków odwetowych. Uspokajające oświadczenia, które na przestrzeni wielu lat składali Japończycy na najwyższym szczeblu, z reguły zapobiegały retorsji ze strony rządów zachodnioeuropejskich i rządu amerykańskiego, kiedy nawet wielkość eksportu Japonii przekraczała określone ramy. Z wyjątkiem niezwykle rzadkich wypadków, pogróżki z za-

du Zagranicznego zgadzają się co do tego, iż najbardziej negatywnym czynnikiem handlowej ekspansji Japonii, jest silny ruch w USA i zachodniej Europie przeciwko stalemu wzrostowi strumienia japońskich samochodów, wyrobów stalowych, telewizorów i innych towarów. W związku z tym japońskie kompanie przejawiają wielkie zainteresowanie przeniesieniem produkcji do USA i innych krajów nabywających produkcję japońską. „Nissan” i „Toyota” — dwa japońskie samochodowe giganty — z zainteresowaniem śledzą działalność „Volkswagena” w Pensylwanii, w USA, gdzie ten zachodni niemiecki koncern wybudował swoje zakłady. Przemysłowe koła Japonii żywią obawy, że wewnętrzny rynek japoński jest już przesycony towarami.

Jak informuje komentator paryskiego wydania „International Herald Tribune”, pieniężnymi rezerwami Japonii są zainteresowane kraje rozwijające się, a nawet rozwinięte kraje

JAPONIA

„WOJNA” NA DWA FRONTY

granicy kończyły się na groźnych gestach. Dlatego też można przypuszczać, że i tym razem Japończycy zrobią niewielkie ustępstwa, żeby na jakiś czas załagnąć burzę. Świadczy o tym pełne irytacji informacja zachodnich biznesmenów prowadzących interesy w Japonii, że mimo oświadczeń rządu japońskiego o gotowości zwiększenia importu, rynek japoński w najbliższym czasie nie będzie szeroko otwarty dla zachodnich wyrobów przemysłowych.

W grudniu ub. roku, podczas wizyty liderów japońskiego przemysłu w RFN, Anglii, Francji i Danii, przedstawiciele kół przemysłowych tych krajów chórem protestowali przeciwko japońskiemu naciskowi eksportowemu i Japończycy zrozumieli, że ich trele o wolnym handlu nie robią wrażenia na krajach członkowskich EWG, nękanych bezrobociem. Zachód ma tylko jedno wyjście: dogonić Japonię pod względem konkurencyjności towarów, tyle tylko, że — jak utrzymuje wielu zachodnich ekspertów ekonomicznych — jest to niemożliwe. Zachodnia Europa, będąc już z samej natury przetwórcą surowca i eksporterem gotowych wyrobów, uważa, że powinna mieć możliwość sprzedawania w Japonii gotowych wyrobów. Teraz już wie, ku swemu rozczarowaniu, że może to robić tylko w bardzo ograniczonej skali. Także Japonia liczyła na to, że otworzą się przed nią możliwości zbytu na rynkach EWG gotowej produkcji, i rzeczywiście robi to na bardzo szeroką skalę. Tymczasem zachodnia Europa nabywa gotowe towary w Japonii w ogromnych ilościach, lecz sama nie ma możliwości sprzedawania jej choćby zaledwie połowy z tego, co w Japonii. Bankierzy, przedstawiciele wiodących kompanii, włącznie z kompaniami „Sumitomo”, „Nissan” i innymi, jak również Japońska Organizacja Han-

kapalistyczne, kraje członkowskie ASEAN (Stowarzyszenie Krajów Południowo-Wschodniej Azji, organizacja międzyrządowa Filipin, Indonezji, Malajzji, Singapuru i Syjamu — red.) oraz niektóre kraje Afryki i Bliskiego Wschodu, które chciałyby otrzymać część tych środków na realizację własnych celów ekonomicznych. Japończycy najbardziej interesują kraje ASEAN, w których mają oni udział w wykonaniu pięciu projektów rozwojowych, a także udziały w eksploatacji bogactw naturalnych krajów należących do tego Stowarzyszenia.

Mimo wszystkich prób rządu japońskiego ożywienia ekonomiki kraju, w prognozach na 1978 rok mówi się o niższym tempie wzrostu ekonomicznego niż w roku ubiegłym. Nierealne okazały się obietnice premiera Fukudy osiągnięcia w minionym roku finansowym, 6 lub nawet 7-procentowego tempa wzrostu. Kompleksowy program stymulowania aktywności, dopuszczający wydatki na sumę 8 miliardów dolarów, opublikowany we wrześniu, nie spełnił nadziei, które w nim pokładano. Ponadto, wskutek gwałtownego podwyższenia parytetu jena w 1977 roku o 10 procent, osiągnięcie tempa wzrostu ekonomicznego jest jeszcze bardziej problematyczne. Manewr ten bardzo ujemnie wpłynął na poziom ekonomicznej aktywności, ponieważ popyt na coraz droższe towary japońskie, przede wszystkim tekstylia, spada. W warunkach zmniejszenia się eksportu opóźni się tempo wzrostu objętości produkcji przemysłowej i w konsekwencji ucierpi na tym ekonomika. Szybko rośnie liczba zbankrutowanych firm orientujących się na eksport.

J. CZECH

(C)

ZEROWE POZYCJE WYJŚCIOWE KONFLIKT W „ROGU AFRYKI” MISJA BEZ POWODZENIA

Jednym z głównych problemów Bliskiego Wschodu jest problem palestyński. Próba odmowy temu narodowi prawa do stworzenia własnego państwa i powołania w zamian autonomicznej jednostki palestyńskiej pod izraelsko-jordańsko-egipską kuratelą spotkała się z zdecydowanym sprzeciwem Organizacji Wyzwolenia Palestyny, która — przypominamy — przez 105 krajów uznana została za reprezentanta tego narodu.

W wywiadzie, którego przed kilkunastu dniami udzielił Arafat, o tym amerykańskim projekcie (będącym w istocie starym projektem Izraelskim, teraz zaakceptowanym przez Sadat) przywódcą OWP powiedział krótko: „Czy może być coś bardziej obraźliwego i lekceważącego?”. I dodał: „Nie będzie ani dnia spokoju dopóki nasz naród nie odzyska swych praw i nie powstanie nasze niepodległe państwo”.

Niestety — wydarzenia pobiegły w odwrotnym kierunku: inicjatywa Sadata dwustronnych rozmów z Izraelem oddaliła genewskie spotkanie, a oświadczenie Cartera o odmowie Palestyńczykom prawa do własnego państwa osłabiło nadzieje na rozwiązanie jednego z kluczowych problemów bliskowschodnich. A więc znów pozycje wyjściowe bliskie są zeru.

A co dzieje się na Bliskim Wschodzie w ostatnich dniach? Agencje piszą, że nastąpił nawrót do tajnej dyplomacji, której celem jest znalezienie możliwości wznowienia bezpośredniego kontaktu między Egiptem i Izraelem. Nie będzie to łatwe, ponieważ Sadatowi zadany został cios w osobisty prestiż i nie określono dotąd warunków, na jakich dalszy dialog byłby możliwy. Mediacyjne wysiłki Vanca nie przyniosły plonu. Co zdarzy się dalej? — to jest właśnie pytanie, które najczęściej zadają komentatorzy.

Pozostawiając je bez odpowiedzi przeniesiemy się do innego rejonu, gdzie również sytuacja rozwija się niepomyślnie.

W „Rogu Afryki” trwa zbrojny konflikt etiopsko-somański, który — co gorsze — grozi umiędzynarodowieniem. Ostatnio prezydent Somali — Mohammed Siada Barre podróżował po niektórych krajach arabskich, starając się je zjednać i zapewnić sobie poparcie. (Zwłaszcza Arabii Saudyjskiej).

Próby wszczęcia rozmów, podejmowane przez rząd w Addis Abebie, nie powiodły się, gdyż Somalia nie chce wycofać swych wojsk z terytorium Ogadenu i rozgrywać z agresywnych poczyną. Kieruje przy tym kłamliwe oskarżenia pod adresem ZSRR, Kuby i innych państw widocznie z myślą o odwróceniu uwagi od swych ekspansjonistycznych planów. Dla ich wsparcia — jak głosi oświadczenie etiopskiego MSZ, opublikowane pod koniec ub. tygodnia — państwa NATO dostarczają Somali bezpośrednio lub za pośrednictwem krajów trzecich broń i sprzęt wojskowy.

Sytuacja jest niepokojąca i może mieć szersze niż tylko afrykańskie reperkusje.

A teraz powróćmy do tematu, którym przez dwa tygodnie zajmowaliśmy się na tym miejscu — do sytuacji we Włoszech, aby przedstawić i skomentować aktualia.

Kryzys rządowy trwa, gdyż desygnowany na premiera G. Andreotti po pierwszej turze konsultacji z

WŁOCHY BEZROBOCIE I DROŻYZNA

Ekonomiczne trudności Włoch, spowodowane ogólnym kryzysem kapitalizmu i pogłębiane przez nieudolne rządy Partii Demokracji Chrześcijańskiej (PDC), obciążają przede wszystkim masy pracujące. W ciągu pierwszych ośmiu miesięcy 1977 roku liczba bezrobotnych zwiększyła się o 1 procent i osiągnęła 1,690 tysięcy osób; czwarta ich część ma wykształcenie średnie lub wyższe. Na każdym 100 bezrobotnych 72 ma mniej, niż 29 lat. Liczba bezrobotnych na południu Włoch jest dwukrotnie wyższa, niż w centralnych i północnych rejonach kraju. Szczególnie poważna sytuacja wytworzyła się w dużych ośrodkach przemysłowych.

Kompania chemiczna „Del Tiro”, której połowa akcji należy do „Montefibro” a połowa do „Anchi” — dwóch wielkich firm produkujących włókno sztuczne i przeżywiających obecnie ostry kryzys — zamknęła swoje fabryki na okres 6 miesięcy. Siedem tysięcy robotników „Montefibro” wciąż jeszcze nie otrzymało 80 procent zarobków za listopad ub. roku, ale w zamian za to nie zwalnia się ich z pracy. Dyrekcja kompanii „Montedison” w Mediolanie zamierza zwolnić z pracy stu współpracowników i 1500 robotników. Ogólnie, zamierzenia dyrekcji przewidują redukcję 10 tys. pracowników. Tymczasem ekonomiczna i finansowa sytuacja koncernu jest bliska krachu: zadłużenie sięga już 3 miliardów lirów, a deficyt za 1977 rok osiągnął rekordową sumę 500 miliardów lirów.

Koncern IRI, do którego należy kompania „Italsider” (przemysł metalurgiczny i stalowniczy) nie ma zbytu na swoje towary. Władze wyrażają obawę, że jeśli staną zakłady w Bagnoli, w Mediolanie wytworzy się sytuacja wybuchowa. Od 1 stycznia szuka pracy 5 tys. robotników z fabryki „Unidall” (przemysł cukrowniczy), która znajduje się w stadium likwidacji, ale tylko 3 tysiące ma szansę na otrzymanie jej w nowej kompanii.

Żeby mieć wyobrażenie o skali kryzysu w przemyśle budowlanym, wystarczy spojrzeć na liczby. W okresie 1970—1976, a zatem w przeciągu sześciu lat, liczba robotników zatrudnionych w budownictwie zmniejszyła się o ponad 300 tysięcy. Gwałtownie zmniejsza się także ilość oddawanych do użytku mieszkań: tylko w okresie 8 miesięcy 1977 roku zmniejszyła się ona o 21 i pół procenta.

Na ostatnim — przed upadkiem — posiedzeniu rządu Andreottiego rada ministrów rozważała nowy projekt rządowy, przewidujący dalsze „ofiar”, jakie powinno ponieść społeczeństwo, żeby zmniejszyć kolosalny deficyt budżetowy. Cieszą „ofiar”, takimi zamierzał rząd obciążyć społeczeństwo, obciążono na 7 trylionów lirów! W pierwszej kolejności zamierzano oszczędzać na zarobkach ludzi pracy, ale przygotowywano także inne decyzje. No, chorzy mieli płacić 1000 lirów dziennie za leczenie w szpitalu. O 16 proc. miała wzrosnąć opłata za światło, o 14 proc. miały podrożeć przejazdy koleją, o 100 proc — rozmowy z automatów telefonicznych. Planowano zwiększyć opłaty za usługi komunalne, komunikację miejską, sortowanie ulic itd. Wreszcie dyskutowano projekt nieopłacenia zasilku za pierwsze trzy dni choroby. Innymi słowy, rząd postanowił, że chorzy powinni chodzić do pracy.

Wszystkimi włoskimi partiami politycznymi nie jest w stanie utworzyć nowego gabinetu. Przedstawiciele partii podtrzymywali bowiem swe dotychczasowe stanowisko, a chadecja nadal odrzuca możliwość dopuszczenia komunistów do rządu. Andreotti będzie próbował jeszcze raz, ale szanse jego misji są żadne.

WIPK powtórzyła, że wobec kryzysu, jaki ogarnął kraj, konieczne jest powołanie rządu ocalenia narodu, z udziałem wszystkich demokratycznych partii. Gdyby zaś Demokracja Chrześcijańska pozostawała wciąż przy swym stanowisku — celowe byłoby rozważenie możliwości sformowania gabinetu bez jej przedstawicieli. Mogłoby go utworzyć komunisty, socjaliści i republikanie. Naszym zdaniem — we Włoszech zanosi się na dłuższy kryzys. Rozplaszanie wcześniejszych wyborów powszechnych też zapewne nie jest wyjściem z sytuacji, gdyż — jak przewidują obserwatorzy — prawdopodobnie jest powtórzenie się obecnego układu sił. Co więcej — okres kampanii wyborczej opóźniłby jeszcze znacznie rozstrzygnięcia najpilniejszych problemów. Aby działać bez zwłoki i ze skutkiem trzeba obarczyć za to odpowiedzialnością rządową wszystkie demokratyczne partie. Stąd właśnie koncepcja rządu ocalenia narodowego. Ale, jak to już powiedzieliśmy, chadecja ciągle ją odrzuca.

W. SŁAWSKI

TYLKO PÓŁTOREJ SEKUNDY...

Tłumacza nam różni ludzie, że w niektórych dziedzinach wytwórczości potęgą jesteśmy i bawia. Na przykład we włókiennictwie i krawiectwie, co nas tu w Łodzi szczególnie satysfakcjonuje, gdyż wiadomo powszechnie, że nasze miasto jest stolicą włókiennictwa polskiego i przemysłu lekkiego w ogóle. Wprawdzie najlepsze garnitury meskie szły w Bytomiu, ale mamy tu w Łodzi „Tellmenc” oraz „Próchnika”, którzy w swoich specjalnościach nie są gorsi. Nasze przemysłowcy krawcy ubierają nie tylko nas, ale też i zagranicznych klientów, a to już słuszny powód do dumy. Ubieramy tu w Łodzi również sportowców. Wprawdzie nie wszystkich, ale ubieramy.

Pisałem niedawno o Stanisławie Bobaku, który siedział w Zakopanem i czekał na narty oraz uszyte kostiumy. Jak wiadomo Stanisław Bobak już skacze, z czego można wnosić, że mu narty dowiódł i kostium uszyli. Ale mam wątpliwości, czy mu uszyli taki kostium, w jakim teraz skacze się na całym świecie?

Odbił się w Libercu XIV Puchar Przyjaźni. Pojechał tam i nasi skoczkowie, ale — jak się można domyślić — żadnych sukcesów nie odnieśli. Świadom tego byli również działacze sportowi przed startem naszych skoczków, więc dokonali magicznego zabiegu. Po prostu zmienili nazwę. Jak wspominałem niedawno KTT w „Kulturze” kiedyś w Zakopanem górali mówili o niedźwiedziu „on”, aby słowem „niedźwiedź” nie wywoływać co z lasu. Widać wśród sportowców działaczy są potomkowie dawnych polskich górali, którzy wiedzą, że przez zmianę nazwy można rzecz całą odcazarować. I tak nasi sportowcy występowali w Libercu nie jako reprezentacja Polski, ale jako reprezentacja klubu „Olimpia” z Golezowa. Honor został uratowany. Golezowska „Olimpia” nie musi mieć najlepszych w Polsce zawodników. Ma różnych. Ale skoro taki klub z Golezowa staje do rywalizacji z narodowymi reprezentacjami innych państw, to pewnie ci chwytliwi Polacy swoich silnych i dobrych zawodników ukrywają starannie przed konkurencją. Ale jest to w rzeczywistości chwyt dla naiwnych.

Dobrze, że Polacy pojechali do Libercu jako przedstawiciele „Olimpii” z Golezowa. W Libercu skoczkowie narciarze z krajów, które nie mają w tej dziedzinie bogatych tradycji, jak na przykład Węgry czy Bułgarię, występowali w strojach, jakich dziś powszechnie się używa. Tylko nasi klubowi biedacy mieli przestarzałe stroje, a nawet już przez jarmarków „mulo” gdzie używane. Chcieli nasi goście wyświecić wodnię pożyteczną takie stroje, aby w nich sobie poza konkurencją poskakać. ale trener Leopold Tainer zabronił dzianowania. I miał rację.

Byłoby oczywiście nierozsądnie postuluować abyśmy byli znowu sami wytwórcami wszystkiego, co sportowcom różnych dziedzin jest niezbędne. Są firmy specjalizujące się w takiej wytwórczości i trzeba tylko korzystać z ich dorobku. Skoro stawiamy naszym zawodnikom wysokie wymagania i chcemy, aby równali do najlepszych, to obowiązkiem działaczy sportowych jest tworzenie im takich warunków, jakimi ci najlepsi też dysponują. Wtedy nikt nie będzie mógł powiedzieć, że byłby lepszy, gdyby miał lepszy sprzęt.

Nasza saneczkarzka Teresa Burajczyk zajęła w Inst. szóstą miejscę na mistrzostwach świata. Nie jest to miejsce takie złe, ale specjalści twierdzą, że byłoby jeszcze lepsze, gdyby miała lepszy sprzęt. Od jej rywalek dzieli ją bowiem około 15 sekund. I te 15 sekund zdanem specjalistów kryje się w różnicy jakości sprzętu. Otóż — twierdzą oni dalej — gdyby Teresa Burajczyk miała saneczki z płozami „Gassera”, to jechałaby szybciej o 0,2 sekundy, gdyby miała nowoczesny kształt „miski” do siedzenia, to jechałaby szybciej o kilka dziesiątych sekund. Gdyby dalej — miała wiatroszczelną kombinizon, to byłaby szybsza o 0,5 sekundy, a gdyby miała taki hełm jak inne zawodniczki, to mogłaby być szybsza o dalsze 0,2 sekundy. Dla łaska brzmi to wszystko jak czarna magia, ale specjalści od sportów zimowych wiedzą o tym od dawna.

Trener Teresy Burajczyk — Antoni Okniński próbuje nawet samodzielnie skonstruować taką nowoczesniejszą „miskę” do siedzenia na wyczynowych saneczkach, ale wszyscy wątpią, czy znajdzie się ktoś, kto mu wykona jeden egzemplarz w skali przemysłowej, czyli trwały i dobry. Ale czy musi być nieprościej kupić? Wiem że wymaga to specjalnych środków i myślę, że sportowi działacze mogą je znaleźć, jeśli dobrze poszukają.

Na nasze wirtuoznie sprzętu sportowego nie bardzo jest co liczyć, gdyż, jak na przykład twierdzi Biuro Współpracy z Konsumentem „Opinia” produkowane w kraju wazania do nart biegowych nie nadają się do użytku, ale wytwórcie tym się zupełnie nie przejmują, a kluby nie mają innych wazów i kupują te, które nie nadają się do użytku. Wazano do nart przeznaczonych do skakania ze skoczni w ogóle nie produkujemy i tu sprawa jest jasna. Nie produkujemy również kijków do nart biegowych. Kluby zdobywają je dalej w zamian nart zjazdowych.

Ale dlaczego potem dziwnie się, że nasi narciarze różnych specjalności nie odnoszą sukcesów? Tego już zupełnie nie rozumiem.

BOGDA MADEJ

EDWARD KOPCZYŃSKI

MIŁOŚĆ I MEDYCyna

Po narodzie Zbyszek zabrał Michała do siebie. Pojechał swoim fiatem, a Michał za nim swoim wozem. Wojtys mieszkał trochę za miastem, w dzielnicach domków jednorodzinnych. Fiat zatrzymał się przed okazałą willą. Wojtys otworzył żelazną ażurową bramę. Kiedy na zapleczu willi wysiedli, Michał patrząc na dom powiedział wesoło:

— Nieźle pomyślałeś, gratuluje, do brzo to wygląda.

— Zobaczący wewnątrz! — Wojtys był zadowolony z opinii Michała.

Weszli schodami na podest. Za dewowymi drzwiami o żelaznych okuciach był obszerny hall. Wojtys wołał:

— Jadziu, chodź, zobaczysz, kogo przywiozłem!

Po chwili zjawila się żona Wojtysa. Zawołała ucieczonego:

— Skąd się tu wzięłaś Michał, bardzo się cieszę.

— Pracuję w Debeckiej Woli, w nowym ośrodku zdrowia.

— W Debeckiej Woli, Michał w wielkim ośrodku! — Jadzia podeszła szybko do Michała, podała mu obie ręce. — Nic się nie zmieniło, dobrze wyglądasz. — Przyjrzała mu się uważnie.

— Ty zawsze jednakowo uroczym. Nie balać mi żony.

— Niech balać mi, w tej pustelni nie mam nawet z kim popłotać. Mówię ci, Michał, ten dom to moje nieszczęście.

— Żartujesz.

— Nic podobnego! — Nie żartuję. Zbyszek zafundował mi to z okazji dwudziestego rocznicy ślubu i jak to jest w jego zwyczaju, zostawił wszystko na mojej głowie.

— Masz tu chyba kogoś do pomocy?

— Mam. — Jadzia roześmiała się.

— Te dwie spracowane ręce.

— Zdażycie się nagadać, teraz pisz wreszcie Michałowi i daj nam coś przekazać. Po każdej naradzie głodny jestem jak wilk.

— Rozgość się, Michał, zaraz zjemy obiad. — Spojrzała na męża.

— Może skoczyłbyś po Barbarę.

— Nie, mój drodzy, dziękuję wam za gościnność, ale Barbara jest z dziećmi w mieście.

— Szkoda. Zapraszamy, kiedy zechcecie. Pozdrowi ją od nas. Już wam robię przekąskę, tymczasem pokaż Michałowi dom.

Parterowy dom był obszerny, pięć pokoi, hall, dwie oszklone werandy, miał gustowne wyposażenie. Nowoczesne, wygodne meble, tapczany, fotele kryte skórą, biurka, kredensy. Na ścianach sporo obrazów, na stolikach mnóstwo artystycznych dywanów z porcelany, z brązu, świątki rzeźbione w drewnie. Michał wyraził swój szczerzy podziw.

— Urządziłeś się naprawdę ładnie, jeszcze raz gratuluje.

— Podobna ci się?

— Jeszcze jak!

Wojtys promieniał.

— Kiedy coś zjemy, pokażę ci wszystkie budynki gospodarcze, ogród.

— To twój ogród? — spytał Michał patrząc przez okno.

— Mój, prawie hektar tego.

— Kto przy tym pracuje?

— Pogadamy, Michał, pogadamy i wszystko ci powiem... o, widzisz, Jadzia już się o nas zatroszczyła.

— Nie dziwię się teraz, że Zbyszek tak świetnie wygląda. Dogadzasz mu Jadziu.

— Sama też lubię zjeść, pod tym względem jesteśmy dobranym małżeństwem.

— Zawsze byliście zgraną parą.

— Co wypijemy, Michał?

— Zdam się na twój gust.

Zbyszek otworzył szeroko drzwi kredensu i nie bez dumy pokazał stojące tam w dwóch rzędach butelki.

— Jak ci się podoba taki zapas?

— Wcale niezły.

— Na moje oko sporo tu ubyło — zauważyła Jadzia.

— Wydaje ci się tylko. — Wojtys wyjął z kredensu napoczętego napoleona i zabrał się do napełniania dużych, okatych kieliszków.

— Mnie oszczędź! — powiedział Michał — nałóż tylko trochę, mam wż.

— Jedziesz do miasta?

— Nie, tylko do Debeckiej Woli.

— I nie ma tam Barbary?

— Nie ma.

— W takim razie zostaniesz u nas, pojedziesz jutro, dzisiaj sobota, nie puścimy cię.

— Zbyszek ma rację, kupę lat nie widzieliśmy się — wtrąciła Jadzia.

— Macie swoje obowiązki, dzieci.

— Dzieci — Jadzia westchnęła. — Kawaler i panna, oboje na studiach, Bolek w Katowicach, Ewa w Warszawie. Może dzisiaj ktoś zjawi się, miejsca jest dosyć, sam widziałeś.

— Tak się składa, że dzisiaj nie mam się dokąd spieszyć — poddał się Michał.

— Zostaje.

— Tak to lubię — ucieszył się Wojtys.

Jadzia patrząc na Michała zauważyła:

— Coś mi się zdaje, że potrzeba ci rozmowy ze mną.

— Może — zgodził się Michał.

— Wypijmy wreszcie. — Wojtys trzymał kieliszek w ręku.

— Michał podniósł swój.

— Twoje zdrowie, Jadziu.

— I twoje, Michał.

Wypił kieliszek z prawdziwą przyjemnością. Potrzebował odprężenia, rozmowy z przyjaciółmi, a ta okazja przyszła tak niespodziewanie, nie miał siły jej odrzucić. Wojtysów znał kupę lat, przyjaźnił się, wiedział o nich wszystko. Zbyszek ożenił się już na drugim roku studiów z Jadzią Ekspedientką. Tak ją nazywał. Musiałem się ożenić — wyjaśniał — bo chociaż studia były bezpłatne, to przecież o suchym pysku studiować nie mogłem. Jadzia była rozsądną dziewczyną. Pracowała w sklepie, karmiła Zbyska, pilnowała jego studiów, myślała również o sobie. Kiedy Zbyszek miał dyplom, Jadzia miała maturę, z ekspedientki awansowała na kierowniczkę dużego sklepu. Przez parę lat, pięć lub sześć, może siedem, Zbyszek pracował w tym samym szpitalu co Michał — a potem Łódź rzucił, niespodziewanie, z dnia na dzień, bo pożarł się ze swoim szefem, Michał spotykał go odtąd bardzo rzadko... Barbara lubiła Wojtysów, często się odwiedzali.

Obiad był obfity, a Jadzia wciąż Michałowi nakładała na talerz. Zbyszek nie żałował napoleona, po pierwszym zjawili się drugi. Owiadnęło Michałem niepodzielnie przyjemne uczucie odprężenia i jakiegoś wewnętrznej spokoju. Wojtysowie byli naprawdę mili, serdeczni, wciąż coś mówili, mogli tylko słuchać. Szczególnie Zbyszek chce się chyba wygadać za wszystkie czasy. Zaczęli wodzić, po niecony, podkreślała słowa ruchami rąk. O, nawet wali teraz pięścią w stół.

— Nie lubię takiego manifestowania uczuć, mój drogi Zbysku, ale słucham cię, słucham.

— Z tobą mogę być szczery. Znasz mnie od początku mojej kariery lekarskiej, ale niewiele wiesz o mnie sprzed tego okresu, tyle tylko, że przyszedłem na studia ze wsi. Ale jak tam było na tej mojej wsi, jak się tam żyło, nie wiesz, bo ty byłeś pan z miasta.

— Tylko nie pan. Przecież pamiętasz, zawsze miałeś mnie za dobrego kumpła.

— Byłeś dobrym kumpłem, ale byłeś i panem, nie zaprzeczaj, bo to nie twoja wina. — Zbyszek patrzył na Michała prawie trzęszy. A ja, kmiot, podziwiałem cię, uczyłem się od ciebie, naśladowałem twoje ruchy, sposób bycia, mówienia.

— Nie mam ci tego za złe, Zbyszek. Każdy ma prawo. — Michał czuł, że ma już dosyć koniaku.

— Po wyzwoleniu byłem na wsi na takiej wsi, że wieczorem paliło się naftową lampą. Po Niemcach została nam karbidowa. Śmierdziała to, bo śmierdziała, ale z nosem w książce można było czytać. Niemcy zostawili karbidową lampę i gospodarkę wyprutą z bechobów, bez konia, bez sprzętu. W pierwszych miesiącach z konia byliśmy ojciec i ja, ale ja szybko się zbuntowałem. Miałem szesnaste lat i poczułem pismo nosem. Zmiałkowałem, że trzeba się uczyć, bo przyszła jedyna okazja dla takich jak ja... Nie powiem, że sam to wymyśliłem, pomogli koleżki, którzy wali ze wsi do miasta... Pomogli również obojętności, wieś leżała blisko miasta, zapisałem się na kursy, zacząłem się uczyć. Jak uczyć? Michał, ty tego nigdy nie rozumiesz. Z rozpaczą, bo najpierw nie nie mogłem pojąć, ani w żąb, nie nie wchodziło do łba miałem przecież za sobą trzy oddziały i prawie sześć lat przerwy. Potem uczyłem się przez ból. Przez ból głowy, oczu od tej śmierdzącej lampy i przez ból pleców, bo ojciec często pa-

sem prześlagał. Jemu moja nauka nie była potrzebna, przeszkadzała w staniu na nogi gospodarki, potrzebny były tylko moje ręce, moja praca. Wytrzymałem tak dwa lata i zrobiłem cztery oddziały. Ale nie to było moim celem, to była tylko pierwsza przeszkoda, potrzebna mi była matura. Związałem z domu, z jednej katorgi do drugiej. Pracowałem u stolarza, byłem w warsztacie chłopakiem na posyłki, popychałem do wszystkiego w nocy stróżem, bo w warsztacie mieszkalem. Ale miałem swój kąpielnia światła elektryczne. Czy ty wiesz, co to jest światło elektryczne? Zbyszek patrzył na Michała i jakby nagle oklapł.

Zbyszek zmarszczył czoło i zaciął powieki.

— Ma dosyć — pomyślał Michał. — Szkoda.

— Ale Zbyszek już mówił, nawet nadspodziewanie przytomnie.

— Nie odpowiedziałeś mi, Michał, czym jest światło elektryczne i już nie odpowiadaj, bo tylko ja to wiem naprawdę. Byłem więc chłopakiem na posyłki, ale mogłem się uczyć. Należało do mnie, tylko do mnie, i nie mógł mi ich zabrać. A potem przyszło oświecenie, dowiedziałem się o zerowym roku studiów.

— Byłeś na zerowym roku?

— Byłem. — Zbyszek uśmiechnął się z gorzkością. — Wybac, że nigdy nie mówiłem o tym, ale nabierając kultury, najpierw nauczyłem się wstydy.

— Pleciez bzdury, mówisz o wstydzie, a to była przecież konieczność dziewczyna, jakie wyrównanie krzywd społecznych.

— Znowu trujesz, Michał, używasz wielkich słów, a one nie są tu wcale potrzebne, to się wtedy rozumiało... Czy sądzisz, że na tych naszych studiach sami przyjemniaczkowie byli?

Patrzyłaś na niejednego z tych pańców i mogłeś przysiąc, że prosto z lasu tu przyszedł, a w tym lesie szyszek nie zbierał. Tacy jak ja, tacy z zerowego roku, byli dla tamtych głównym, mierzwą. Nie było wężym się chwalić. Fakt, że studiowałem medycynę, ośmalałem, zapalałem dach w piersiach. Pamiętam jak dzisiaj, często w czasie wykładów szczyptałem się w ramię, by sprawdzić, czy nie śnię. — Zbyszek wypilił wszystkie kieliszki z kieliszka.

— A dziewczyny, pamiętasz? Piękne, delikatne, z brylantami na palcach, w futrach.

— Były i inne.

— A były, były, ale tych biednych, podobnych do mnie, było bardzo mało.

— Masz rację, w pierwszych latach na studiach znaleźli się przede wszystkim ci, którzy studiowali równie przed wojną. Wojna po prostu spowodowała zwłokę.

Zbyszek jednak myślał już o czymś innym. Skupił się na Michała i zapytał:

— Czy wiesz, co mnie gryzie? Michał wzruszył ramionami. — Ty zawsze byłeś i jesteś w właściwym miejscu: na studiach, w mieście, w szpitalu, teraz w Debeckiej Woli, do wszystkiego pasujesz, wszystko jest dla ciebie proste, łatwe.

— Chciałbym, żeby tak było.

— I tak jest, Michał. A mnie gryzie, aż dawi czasem. Poczekaj, uciech się wzmocnie. — Wojtys pociągnął z kieliszka. — Gryzie mnie dusza chłopca, moja dusza.

Michał poczuł się nagle zmęczony.

— Nie rozumiem. Dobrze, że masz duszę chłopca, więc ze środowiskiem.

— Znowu trujesz, Michał, przepraszam cię, ale paskudnie trujesz. Mówisz o powiązaniu ze środowiskiem. Rodzice moi nie żyją, na ojcowiznie gospodaruje siostra ze szwagrem, nie wzięliam tamtąd ani tyle, co brudu za paznokciem, zagladam tam czasem, bo nie Kochamy się z siostrą specjalnie, a szwagier jest mi zupełnie obcy. Ale jest prawda, że rozumiem wieś, poznalem ją na własnej skórze, sznuję pracę na wsi, bo i dzisiaj jest ciężka. — Zbyszek urwał nagle, spojrzał z gorzkością na Michała. — Stuchasz mnie przez uprzejmość, pewny jesteś tylko jednego, że się urządzam.

— Sporo wypiliśmy, Zbyszek.

— Mówię właśnie dlatego, że wypiliśmy, bo na co dzień tlamę w sobie to wszystko, staram się o tym nie myśleć. — Zbyszek wpatrzył się w Michała. — A mimo to wciąż się szarpie.

— Wyduś wreszcie, o co chodzi, wyłóż kawę na lawę. — Michał czuł się już zupełnie trzęszy.

— Widzisz, Michał, powiedziałem ci, że gryzie mnie moja chłopka dusza, i to jest prawda. Mimo wykształcenia, mimo zawodu, jaki wykonuję, pozostałem chłopem. Jest we mnie krew ojca i jego cechy, cały ojciec jest we mnie. Jest we mnie jego przywiązanie do ziemi, jego nieufność, muszę tak jak on wziąć w ręce i sprawdzić, mam jego upór, zawziętość, poczucie obowiązku. On miał je w stosunku do ziemi i do inwentarza, ja mam w stosunku do zawodu.

— Nie złego w tym nie widzę.

— Nie widział, bo ulepiono cię z innej gliny. Dlatego, że siedzi we mnie chłop, potraktowałem medycynę tak, jak mój ojciec traktował gospodarkę. Chciałem z niej wycisnąć jak najwięcej dla siebie. Nie powiem że nieuczciwie. Wyciskałem sok dla siebie wyżywną pracą, końską pracą nad zdobywaniem wiedzy, lekarskiego doświadczenia. Wiesz, dlaczego rzuciłem miasto?

— Nie pamiętam — skłamał Michał.

— Dlatego, że trzeba było wygnać mnie ze szpitala. Koleżki szli do domu, urywali się, kiedy tylko było można, a ja zostawałem na oddziale. Chciałem nauczyć się jak najwięcej i jak najszybciej. Bawilo to najpierw moich przełożonych, znalazł się praca, niech tyra, ale wnet pochrzanilo im się w głowach. Moja chęć do pracy stała się podejrzaną. Okazało się, że rozpiera mnie duma, że marzy mi się awans, że czyham na stanowiska innych. Rzuciłem miasto, ale miałem już pierwszy stopień specjalizacji. Przyszedłem tutaj piętnaście lat temu, szybko zrobiłem drugi stopień i dzisiaj w swojej specjalności jestem tutaj pierwszy. Pierwszy, słyszysz? Nie ma lepszego ode mnie. Słyszysz?

— Słysz.

— I moja chłopka dusza każe sobie za to płacić, uczciwie, ale duzo. Nie nie robię za darmo, nie udzielam się społecznie, wyciskam tylko wszystkie soki z medycyny. Jak ojciec z gospodarki.

— Na studiach, tak opowiadałeś, byłeś właśnie społecznikiem, pracowałeś w Bratniaku, byłeś w organizacji młodzieżowej.

— To właśnie mnie gryzie, Michał, szarpie w środku. Robię w życiu nie to, co chciałem. Zostałem groźnym, bo, bo ojciec chce posiadania przekazał mi wraz z genami, nazaczył mi na całe życie. Michał, ja nie przesadam, ale właśnie ja, dzięki swemu pochodzeniu, dzięki awansowi, jaki dał mi ten ustrój, powinienem być w pierwszym szeregu tych, którzy — tym razem to nie są wielkie słowa — budują w tym kraju socjalizm.

— Każdy, kto pracuje uczciwie, buduje socjalizm.

— Prawisz komuny, Michał, komuny! — Zbyszek sięgnął po kieliszek.

— Nie pij już, masz dosyć.

— Jestem trzęszy, mam we mnie taką jasność, że aż mnie to przeraża. Powiedziałeś, że kto pracuje uczciwie, ten buduje. Zgoda. Popatrz na mój dorobek. Ten dom kosztuje mnie pół miliona, to, co tu jest wewnątrz, że trzysta tysięcy. Do tego wielki ogród. Jadzia rece sobie urabia. Prawda, że to jest uczciwy dorobek. Ale się go wstydzę, przeklinam go, bo jest zaprzeczeniem tego wszystkiego, o czym marzyłem i czego pragnąłem w latach młodości. — Zbyszek patrzył zupełnie przytomnie. — Michał, powiem ci więcej, pracowałem w Bratniaku, byłem działaczem młodzieżowym, a później nie umiałem zadeklarować swojej solidarności z tym krajem, nie potrafiłem powiedzieć, jestem z wami.

— Do czego zmierzasz?

— Ani w mieście, ani tutaj moja chłopka dusza nie pozwoliła mi pójść do organizacji partyjnej i powiedzieć: chcę być z wami.

— Doprawdy, nie z tego nie rozumiam.

— Posłuchaj, Michał, moja dusza wciąż wierzgała we mnie. Szeptala mi, pójdziesz i powiesz że chcesz być z nimi, a oni zapytają: Dlaczego? Zapytają dlaczego, a pomyślą, czy nie da kariery. To mnie obezwładniało. Kiedy przyszedłem tutaj, przyszła za mną fama z miasta, że jestem pracus, że mam cholerne ambicje. Czy mogłem wtedy deklarować się? Był tacy, którzy uważali, że robie to dla interesu, dla urzędowania. Później, kiedy zrobiłem drugi stopień, kiedy wakaowała ordynatura z konkursu, miałem te same opory. Kiedy miałem już ordynaturę, mogli wiać moją deklarację za chęć umocnienia się na stanowisku... I tak było stale, stale.

— Możesz to zrobić i teraz, nie wiesz przeszkód.

— Nie, Michał, teraz jest za późno. — Zbyszek odsunął kieliszek. — Odrodziliśmy się od tej możliwości tym domem, ta ziemia w ogrodzeniu. Jestem tu już tylko groźnym. Szanuj mnie za wiedzę, daj zaufanie, ale to wszystko... Taka jest prawda o moim życiu.

Michał milczał długo, potem powiedział:

— Zadręczasz się bez racji, komplikujesz sobie proste sprawy. Naprawdę, ja nie rozumiem twoich argumentów. Mówiłeś że bałeś się, by nie wzięto twojej deklaracji za chęć zrobienia kariery. Powiedz mi, do diabła, skąd ci to przyszło do głowy?

— Skąd, skąd, mówisz tak, jakbyś z księżyca spadał. Przecież takie jest powszechne mniemanie.

— To jest koltuńskie mniemanie.

— Ale jest wszędzie to usłyszy.

— Słuchaj, Zbyszek — Michał ku-

pil się — jestem członkiem partii od lat kilkunastu i nie miało to żadnego wpływu na moją pracę, na moje stanowisko. Na to wszystko, co dzisiaj posiadamy Zbyszek, powiedziałem, misio wpływ. Pamiętałem zawsze, że jestem członkiem partii i że stąd wypływała konkretna obowiązki. Jak?

— Nie zaprzeczysz chyba, że partyjnym chętnie powierza się starostwa, funkcje, urzędy.

— Zbyszek, nie dał się zwariować. Czy chciałbyś, żeby partia na odpowiedzialnych politycznych stanowiskach stawiała ludzi o nieokreślonym stosunku do naszej rzeczywistości? To byłaby bzdura. Ale czy stanowiska obsadzone są według tego, czy ktoś jest lub nie jest członkiem partii? Weź samego siebie. Jesteś ordynatorem i jesteś bezpartijny.

— Bo jestem najlenszy.

cdn.

NOTATKI Z ŻYCIA

Dzienniki, notatki i doraźne prowadzone zapisy literackie są z reguły pasjonującą lekturą. Niekiedy — pisane bez zamiarów artystycznych — są uznawane powszechnie za wybitne utwory literackie, jak choćby słynny „Dziennik” Samuela Pepysa. Czasem — o paradoksalnie — dzienniki niespodziewanie stają się najlepszą książką pisarza, o pokątnym dorobku powieściowym.

Tak jest chyba z „Dziennikami czasu wojny” Zofii Nałkowskiej. Z publikowanych fragmentów dzienników Marii Dąbrowskiej też zdaje się wynikać prognoza, że będzie to lektura niezwykle pasjonująca.

Bowiem dzienniki, obok swoich walorów czysto literackich, niosą ogrom wiedzy o autorze, jego środowisku, refleksje i obserwacje zapisane spontanicznie i nerwowo, ale nierzadko bardziej porównawcze niż czelowa stylizacja proza artystyczna.

Pamiętam takie zdanie z dziennika Zofii Nałkowskiej, żony wielkiego Lwa Tołstoja: „A coż on takiego ważnego

robi? Chodzi na spacer, jeździ konno, czasami pisze”, (podkreślenie moje).

Czasami pisze! To było o autorze „Wojny i pokoju”!

Przed siedemnastu laty ukazała się w Polsce niewielka książeczka „Zrenice ziemi” Miłkołaja Priszwina. Priszwin — wielki samotnik literatury rosyjskiej pozostawił po sobie obszerny dziennik, obejmujący z górą pięćdziesiąt lat jego twórczego życia. Przywiązywał do nich ogromną wagę, sam przecież napisał: „Czy nie są czymś większym od wszelkiej opowieści te zapiski o życiu, tak jak je prowadzę?” Był przekonany, że gdyby je zebrał i uporządkował, powstałaby własna ta książka, dla której urodził się Michał Priszwin.

Część swoich dzienników z lat powojennych pisarz przystąpił do druku. Nie zdołał jednak tej pracy doprowadzić do końca. „Zrenice ziemi” ukazały się w Moskwie już po śmierci Priszwina w roku 1954.

Są w tych notatkach m. in. takie słowa:

„W sztuce nie ma zastępców: tym właśnie sztuka różni się od wszystkiego innego. W produkcji nie sposób bez zastępców, ale właśnie dlatego powstała i istnieje sztuka, że tutaj człowiek jest sam”.

Dodajmy — sam, jedyny i niepowtarzalny. Nie można żadnego pisarza zastąpić innym — o lepszych manierach czy mniej kłopotliwym stylu życia. Nie można go nawet zastąpić pisarzem lepszym, bo zawsze będzie to pisarz inny.

Niepowtarzalny był także autor głośniejszego i wstrząsającego dziennika — Effendi Kapijewa. Wiele lat temu ukazały się jego niezwykle „Notatki z frontu” — obecnie powróciły w serii „Kolekcji Literatury Radzieckiej”.

Kapijew urodził się w dagestańskim aule, w rodzinie wędrownego rzemieślnika. Wywodził się z Laków, znał kilka języków kaukaskich, ale jako pisarz wybrał język rosyjski, uważając, że tylko ten język daje szansę dotarcia do szerokie-

go kręgu czytelników zarówno jego własnej twórczości, jak też — poprzez przekłady — poezji jego małego górskiego ludu.

I dał Effendi Kapijew rosyjskiej literaturze jedną z najbardziej przejmujących relacji z czasów wojny. Pisane na gorąco notatki, miniatury obrazki, często jednozdaniowe refleksje stały się wielkim, wstrząsającym „zapisem naczynego świadka”.

„Notatki z frontu” kończą się słowami: „Istnieje okrutna reguła, że żywi zapominają o martwych, a martwi nie mogą opowiedzieć o sobie, ponieważ już nie żyją. O, gdyby można było usłyszeć tych, co leżeli tu na przeraźliwym mrozie, szli po tych kamieniach, padali pod uderzeniami... O, gdyby mogli przemówić...”.

A jednak umarli mówią. Przemówił Effendi Kapijew, kiedy wiele lat po jego frontowej śmierci ukazały się w Moskwie „Notatki”, przemówił starszyzna Priszwin... Dzięki pisarskim dziennikom i notatkom umarli po latach mówią do żywych. I kiedyś — kiedy już nas nie będzie — nasze dzienniki przemówią do naszych wnuków.

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH TADEUSZ PAPIER



Gdy Reymont umiera Już mamy Papiera!

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

HISTORIA I PRAWDY WIECZNE

Określenie dziewiętnastego stulecia mianem „wieku historii” jest obarczone pewnymi wieloznacznościami. Oznacza ono z pewnością — po pierwsze — że człowiek odkrył wówczas historyczny charakter własnej egzystencji, uświadomił sobie historyczną zmienność świata i siebie samego. Te świadomości wyrażali romantycy, kiedy powiadał, że nie maś teraźniejszego świata, że wszystko było albo będzie, nie zaś nie jest, że wszystko jest bezustannie, gwałtownie się, zmiennością — a więc historią; kiedy nie postrzegali się — przykładem niech będzie Adam Mickiewicz — przed rozpatrywaniem również przyszłości w kategoriach historii. Ale przytoczone powiedzenie oznacza także — po drugie — że całokształt kultury epoki został wszechstronnie przesycony historią, że historia jako taka była inna, artystyczna czy naukowa, wiarygodny bądź nie obraz lub opis jakiejś dziejowej rzeczywistości wypełniała karty dzieł naukowych i literackich, stanowiła o treściach prac malarskich i dzieł rzeźbiarskich.

przekształcała się więc w historiozofię, w filozofię historii, mającą ambicję zgłębiania odwiecznych mechanizmów historyczności świata, tych mechanizmów które — jak wierzone głęboko — zakodowane w najodleglejszej przeszłości dzieł miałyby realizować się w nich prowadzić ludzkość do spełnienia się jakiegoś ponadhistorycznego celu. Perspektywa teleologiczna, tak charakterystyczna dla historycznego myślenia epoki Romantyzmu, stawała się podstawą dla orzekania — jak to pięknie powiedział Adam Sikora — „o zasadniczej prawomocności dzieł, o ich niewolącym porządku i apodyktycznej wprost konieczności: został bowiem „nawołany” „prawdowy sens” upływającego czasu — spełnienie wymagań esencji. Jej stopniowa aktualizacja”. Dopiero w oparciu o taką lub inną teleologię dzieła stawały się „przejrzystymi” dla ludzkiego intelektu. Dla ludzi tamtej formacji bowiem każda „poszczególność epoki posiada swoje, logiką całości u sankcjonowane, miejsce: jest koniecznym etapem wzrostu, integralnym składnikiem powszechnego procesu, który zmierza do apogeum — realizacji powołania ludzkości”.

Wiek dziewiętnasty, a właściwie jego pierwsza połowa, był z całą pewnością stuleciem nad wyraz bujnego rozkwitu refleksji historycznej. Daleko nam jeszcze do w pełni wszechstronnego, adekwatnego rozpoznania wszystkich, jej jakieś zróżnicowanych nurtów i odcieni, europejskiej. Badania nad romantyzmem i historiozofią — przy czym termin „romantyczny” ma tu znaczenie bardzo szerokie, niemal umowne — prowadzone w ostatnich latach przez historyków filozofii i myśli społecznej oraz badaczy literatury przyniosły niezmienne interesujące rezultaty. By wspomnieć prace Andrzeja Walickiego, Marii Janion, Aliny Kowalczykówny, Marii Wodzyńskiej czy Haliny Floryńskiej. Dotyczy one jednak przede wszystkim różnorodnych aspektów polskiej historiozofii czasów Romantyzmu. Również do problematyki polskiej rozpoczynał swoje badania Adam Sikora — przypominamy tu jego dawniejsze prace dotyczące Andrzeja Tołkowskiego i łowianizmu, antycypujące szereg interpretacji, podjętych przez innych badaczy. Uważamy ten lubi widok borykać się ze szczególnie trudną proble-

matyką (do takiej należy z całą pewnością wszystko, co jest związane z łowianizmem), więc rzechio rozszerzył swoje zainteresowania na tematykę pozapolską, choć także i dla spraw polskich istotną. Owocem tych prac były najpierw obszernie wstępy, którymi A. Sikora poprzedził wydane w ramach „Biblioteki Myśli Socjalistycznej” (KiW) wybory pism H. F. de Lammenais (1970), J. Królikowskiego (1972), L. A. Blanqui (1975). Poprawione i uzupełnione, razem z nie opublikowanym dotychczas studium o Theodore Demazy złożyły się dziś na fascynującą — mnie przynajmniej — książkę, opatrzoną tytułem: „Historia i prawdy wieczne” (PWN, 1977). Traktując o wielkich historycznych konstrukcjach myślicieli z ubiegłego stulecia autor dał czytelnikom do rąk lekturę z pewnością niełatwą, choć A. Sikora posiadała klarowną i pięknie prezentowaną swych rozważań. Jednakowoż nie stępia trudności przy lekturze, ale ranga rozważań przez badacza spraw winna przesądzić o tym, że po rzecz te sięgnie chyba każdy, kto stara się we własnym badaniu zakreślić dyalekt, historycznego myślenia ludzi z odległej już dziś, ale wciąż jakże ważnej dla współczesności epoki, tego myślenia, z którego brały impuls zróżnicowane nurty ideowe i polityczne nie tylko przecież ubiegłego stulecia.

ANDRZEJ F. GRABSKI

PANIE MAGISTRZE!

Odbyło się seminarium naukowe grupy „Polska roku 2000”, poświęcone przyszłościowej sylwestrowi wykształconego Polaka. Temat ten oczywiście wiąże się z dyskusją o aktualnym systemie nauczania, bo przecież dziś właśnie kształcimy naszych następców z dwutysięcznego roku. Dyskusja o programach szkolnych, o organizacji szkolnictwa, o uczęszczaniu młodzieży do szkoły, o tym, czy i jak, wiele się nieustannie, wiele pism poświęca jej swoje łamy, ściągają jej poglądy specjalistów, wtrącają im głosy czytelników.

W ten właśnie „terminologiczny” sposób Lublin otrzymał politechnikę, która została dotychczasowa Wyższa Szkoła Inżynierska. Podobno poza nazwą nie się tam nie zmieniło, ale iluż przybędzie od razu nowych magistrów inżynierów!

Mamy już teraz jedno z pierwszych miejsc światowych w statystyce, obrazującej liczbę osób z wyższym (przynajmniej formalnie) wykształceniem, pracujących na funkcjach wcale tego nie wymagających. 15 proc. absolwentów uczelni technicznych i 25 proc. ekonomistów pracuje wcale w biurach, przy skromnych referenckich stolikach, nie mając żadnych możliwości wykazania swych kwalifikacji. W przeliczeniu na liczby proste oznacza to łącznie ponad 40 tysięcy osób, czyli kilka pełnych roczników akademickich odnoszących kierunków w skali kraju. Część z nich miała pecha, część powodowała się chęcią pozostania w mieście, w którym rynek fachowców jest już nasycony ale jest i taka część, która po prostu nie ma wcale tych kwalifikacji o których powinien świadczyć ich dyplom. Nie chcę mówić o moich osobistych wrażeniach z kontaktów z wieloma magistrami ujawniających wręcz żenujący poziom intelektualny tychże. A przecież prawie nikt z nich nie dublował nigdy żadnej klasy, bo zjawisko dublowania od wielu już lat zachodzi niezmienne rzadko. Więc jak to jest z tym przeciętnym i nadmiarem wymagań?

Na pociechę — chociaż mocno to ona nie jest — mogę tu przypomnieć poglądy znakomitego pedagoga i psychologa Władysława Witwickiego, wyrażone w „Przeglądzie Współczesnym” sprzed 50 lat (nr 59 z 1927 roku). Profesor pisał tam w artykule pt. „Poziom umysłowy dzisiejszych maturzystów”, że młodzież nie zna żadnego języka obcego (co by o tym powiedział profesor dzisiaj, gdy kompromitujące dukanie jakimś prymitywnym ekstrakttem np. niemieckim uważa się w ankiecie za „znajomość języka obcego”), że nie ma pojęcia o naukach przyrodniczych, o historii powszechnej, a najważniejsze — nie potrafi się samodzielnie uczyć. Jedno, co potrafi (pisze profesor), to efektowne pisać i kwieciste przemawiać.

No — dzisiaj i tej uwagi bym się nie odważył podpisać. Twierdząc kosztownie, że talent płynny, ładny, a choćby tylko poprawnego mowienia staje się coraz rzadszy.

Więc jak to właściwie jest z tym nadmiarem wymagań, kochani korespondenci „Polityki”?

W roku ubiegłym — jak podawało „Życie Literackie” — zgłosiło się na Uniwersytet Jagielloński 200 kandydatów na polonistykę. Z tego tylko 75 osób zdało egzamin wstępny, w tym 85 proc. z wynikiem niedostatecznym. Na niektórych kierunkach przypadało 3-4 kandydatów na jedno miejsce, a po egzaminach okazało się, że i tak nie wszystkie miejsca zajęto, tyle było odsiewu. Więc jak to właściwie jest z tym przeciętnym i nadmiarem wymagań? Jak to jest z tymi bardzo dobrymi ocenami ze szkoły średniej, które okazują się tróją z dwoma minusami na egzaminie uniwersyteckim? A może te egzaminy też są za trudne? Nawet zresztą czytalem i takie głosy, żeby by o ogóle zlikwidować, bo młodzież dostaje stresów tak jak dawniej dostawała przyszczy na buzi.

Mniej wymagać w szkole, puszczać w ciemno z klasy do klasy, w ciemno na uniwersytecie, w ciemno dopisać przed nazwiskiem magiczny skrót „mgr”. Bedziemy statystycznie na pierwszym miejscu w Europie co do ludzi z wyższym wykształceniem. Aha — i jeszcze możliwie dużo szkół nazwać a-

ĆWIEK

KASZTAN I LIPA

Zwykliśmy wszystko klasyfikować, systematyzować i szufladkować i ta czynność, jako pomocnicza, odgrywa wielką rolę, ale czasami przeszkadza, jeśli klasyfikowanie staje się celem samym w sobie. Podzieliliśmy również pytania na podchwytliwe, drażliwe, banalne i tak dalej. Poznanie charakteru pytania ułatwia danie odpowiedzi. Bo jeśli ktoś „wypuszcza nas w maliny”, to możemy dać mu z całym spokojem odpowiedź wymijającą. Ale jeśli chce poznać prawdę, to trzeba podejść do sprawy z całą powagą.

Kiedy niedawno ktoś mnie zapytał, czy potrzebna nam jest w Łodzi budowa trasy „W-Z”? — przyznaję, że z pewnością nie, nawet przez ułamek sekundy nie podejrzewałem, że pytający drwi sobie ze mnie. Pytanie było wprawdzie absurdalne, ale następujący po nim komentarz usprawiedliwiał pytającego i rzecz całą trzeba było potraktować z należytą powagą. Otóż ów człowiek wątpiący w potrzebę budowania w Łodzi trasy „W-Z” uważał, że pieńgiadze na ten cel lepiej byłoby wydać na budowę nowych mieszkań, tak przecież ludziom potrzebnych. A poza tym uważał on jeszcze, że wiele mieszkań można było utrzymać w starym budownictwie, a zburzono je pod teren potrzebny dla przyszłej trasy. Ow pytający był jeszcze tym, że liczył sobie niezbyt wiele lat i mógł

wszystkiego nie wiedzieć, nie rozumieć, nie ogarniać całości problemów związanych z rozbudowywaniem się miastem.

Młodego człowieka jestem w stanie zrozumieć. On po prostu chce wiedzieć. Trudno mi jednak zrozumieć pytania Gozelskiego, który ani nie jest młodym, ani nie podejrzewałem go nigdy o to, że nie jest w stanie zrozumieć całokształtu problemów związanych z przebudową Łodzi. Był on uprzejmy, rozplakał się niedawno na łamach „Szpilek” nad jednym kasztanem i nad tym, że budowlani zburzyli na ulicy Główniej „wiele zabytkowych domów, wycięli wiele drzew”. Przede wszystkim nie bardzo wiem, gdzie Roman Gozelski widział te zabytkowe domy przy ulicy Główniej, a już zupełnie nie rozumiem, dlaczego miało ich być „wiele”.

Na początek, aby była między nami całkowita jasność, to chciałbym wyraźnie zadeklarować, że ja też jestem za ochroną zabytków i uważam, że nie wolno niszczyć zieleni. Generalnie reprezentuję taką tezę, że człowiek jest częścią przyrody i nie wolno mu swoją bezzmyślną działalnością niszczyć w przyrodzie równowagi, bo to ujemnie odbija się nie tylko na człowieku, ale i na całej przyrodzie. Uważam jednak, że od reguły tej są pewne wyjątki. Na przykład w Łodzi przebiecie szerokiej drogi ze wschodu na zachód lub odwrotnie ułatwi nie tylko ko-

munikację między Retkinia a Widzewem — Wschód, ale też przyczyni się do rozładowania komunikacyjnego Łódki, co wyjdzie na dobre człowiekowi.

Gdyby uważnie przyjrzeć się budownictwu drogowemu w Łodzi, to można byłoby zarzucić dotychczasowym przedsięwzięciom jedynie opieszałość i minimalizm. Już dziś — budowane przed kilkoma laty — szlaki komunikacyjne okazują się przestarzałe i niewystarczające. A co będzie za kilka lat, przyjmując dotychczasowe tempo rozwoju motoryzacji? Nie jestem wcale przekonany, czy przypadkiem teraz właśnie budowana trasa „W-Z” nie okaże się za kilka lat ciasna i niewystarczająca.

Niedawno miałem okazję usłyszeć pogląd przedstawiciela władz śródmieścia na interesujący nas temat. Powiedział on, że będzie się w śródmieściu burzyć, ale będzie się też chronić wszystko, co choćby ma pozory historycznej wartości. I nie widzę w tym stwierdzeniu żadnej sprzeczności. Trzeba sobie bowiem uświadomić, że codziennie na jednego wyjeżdżającego ze śródmieścia do pracy, trzeba tutaj przywieźć do pracy 7 osób. Warto więc pamiętać, że w śródmieściu więcej ludzi pracuje niż mieszka. A również i o tym, że śródmieście jest przestarzałe, modernizuje się bardzo wolno i — na przykład — aby tylko zlikwidować lokalne kołtownie i paleniska, które tu zatrzuwa-

ją atmosferę, potrzeba aż 8 lat.

Wydawało mi się, że powszechną stała się już świadomość, że dziś nie wystarczy tylko budować nowe bloki, ale trzeba je też „uzbrajać” w to wszystko, co ludziom niezbędne jest do życia. A więc w sklepy, punkty usługowe, żłobki, tereny zielone oraz łatwy dostęp do komunikacji, dzięki której szybko można byłoby się dostać do pracy, do domów towarowych, kin, restauracji, teatru i tego wszystkiego, co głównie koncentruje się w śródmieściu. Dla mnie pojęcie nowego mieszkania kojarzy się nie tylko z czterema ścianami, ale też z łatwości korzystania z tych wszystkich instytucji, które powinny służyć człowiekowi. Z możliwością szybkiego zainstalowania telefonu również. I z tym, aby lokatorzy nowych domów nie musieli mieszkając brodzić po blokach i ze swoich okien oglądać księżycowy pejzaż otaczający nowe osiedle.

W miarę postępu budownictwa piętrzą się komunikacyjne trudności. Ostatnio wymyślono na przykład, że można będzie pokonać te trudności przez... zlikwidowanie linii „57” na ulicy Piotrkowskiej. Ten pomysł pokazuje, że komunikacyjna koldra jest krótka i aby zakryć głowę, konieczne trzeba odkryć nogi. Ale w Łodzi nie tylko brakuje armat, czyli taboru, brakuje również dogodnych szlaków komunikacyjnych. Świadomość tego faktu powinna należeć do podstaw wiedzy o mieście i jego sprawach.

MARCIN RODAK